

**ALFRED HITCHCOCK**

**DUCH MALCOLMA FOSTERA**

**NOWE PRZYGODY TRZECH DETEKTYWÓW**

(Przełożyła: **KRYSTYNA BOGLAR**)

**SIEDMIORÓG 1999**

# KILKA SŁÓW OD ALFREDA HITCHCOCKA

Czy pamiętacie moich młodych przyjaciół, których sam, niebacznie, nazwałem Trzema Detektywami? Oto oni:

Jupiter Jones - szef operacyjny. Główny mózg w zespole. Doskonały obserwator potrafiący też wyciągać właściwe wnioski. Mieszka w Rocky Beach, małym miasteczku na Zachodnim Wybrzeżu. Uczy się i dorabia, pomagając ciotce Matyldzie i wujowi Tytusowi w prowadzeniu składu złomu.

Pete Crenshaw - biega, pływa i gra w koszykówkę, jako najlepszy sportowiec z całej trójki dostaje najtrudniejsze sprawy do załatwienia. Umie przeskoczyć mur, zadać cios karate i dogonić zbiega. Ukończył nawet kurs dla płetwonurków. Wszyscy go lubią. Dzięki ojcu, który jest jednym z najlepszych specjalistów od efektów specjalnych w produkcji filmów, Pete ma łatwy dostęp do studia Metro-Goldwyn-Mayer.

Bob Andrews - najlepszy z dokumentalistów. Dorabia, pomagając ojcu wynajdywać materiały do reportaży. Papa Andrews jest dziennikarzem Sun-Press w Santa Barbara. Bob od najmłodszych lat spędzał czas w bibliotece w Rocky Beach. Wie prawie wszystko o historii hrabstwa. I nie tylko.

Chłopcy znani są z tego, że rozwikłali wiele spraw, trudnych nawet dla miejscowej policji. Toteż Mat Wilson, sierżant posterunku w Rocky Beach, nigdy nie lekceważy ich opinii. Nawet, gdy dotyczą spraw, niematerialnych, To znaczy DUCHA. A w tym wypadku wyjątkowo wrednego ducha. I namolnego. W sprawę, której początek sięgał zamierzchłej przeszłości, chłopcy włożyli wiele pomysłowości i wysiłku. Bo cóż może łączyć galerię obrazów, zimną Szkocję z... polami naftowymi i budową portów w San Pedro i Long Beach!

A jednak może!

# ROZDZIAŁ 1

## PROŚBA MATA WILSONA

- Słuchaj, Pete - Jupiter Jones kichnął jak z procy - przepraszam, mam katar. Czy możesz pojechać ze mną na posterunek policji?

Po drugiej stronie słuchawki zapadła chwilowa cisza.

- Czy dobrze słyszałem o... policji?

- Dobrze - Jupe wydmuchał nos. Był wielki, czerwony i bardzo bolący. - Mat Wilson chce z nami mówić.

Znów zapadła cisza.

- Mówisz o sierżancie Wilsonie?

Naprzód dało się słyszeć pięć solidnych kichnięć, a potem znudzony głos Jupe'a:

- Oczywiście. Dotarło?

- Dotarło - westchnął Pete. Zastanawiał się, skąd wziął się u Jupitera taki familiarny stosunek do, bądź co bądź, szefa tutejszego posterunku. - A co z Bobem?

Przez jakiś czas słyhać było tylko wycieranie nosa.

- Rozmawiałem z nim. Będzie wieczorem w Kwaterze Głównej. Na razie żegluję po internecie. W bibliotece. Musi znaleźć dla ojca jakieś dane o uprawie ryżu w dolinie Sacramento. Czy wiesz, że ryż rozsiewa się tam za pomocą... samolotu?

Pete zachichotał.

- Nie. Nie wiedziałem. Zawsze sądziłem, że sprowadzamy go z Chin.

- Podjechać pod twój dom?

- Dobrze. Co prawda tata kazał mi naprawiać odpływ od zlewozmywaka, ale zrobię to wieczorem.

Pół godziny później Jupiter Jones zaparkował swego siedmioletniego forda tuż obok dwóch wozów policyjnych. Sierżant Mat Wilson ocierał potężny kark wielką chustką w kratę.

- Ale upał! - wysapał na powitanie.

Jupiter kichnął parę razy. Jego nos przybierał coraz ciekawszy kolor. Dojrzewał niczym

dorodny pomidor.

- A ja bab katar.

Pete wzruszył ramionami.

- Proszę wybaczyć. Jupe chciał powiedzieć, że ma katar. W czym możemy pomóc?

Sierżant zdjął nogi z biurka. Jego ogromne stopy oparły się o brudną podłogę. Widać na niej było ślady rozdeptanych petów.

- Są sprawy... których żaden policjant nie jest w stanie zrozumieć - wymruczał. Pocił się obficie. Niebieska koszula miała na plecach ciemne plamy. -W każdym razie policjant myślący racjonalnie.

Jupe siedział z otwartymi ustami. Po raz pierwszy w życiu usłyszał takie słowa od stróża prawa. A poza tym, lepiej mu się oddychało.

- Co pan przez to rozumie?

Mat Wilson miał szeroką twarz, wagę boksera i nieprzepartą namiętność do piwa. Parę pustych puszek po tym napoju walało się w okolicach kosza na śmieci. Zmrużył oczy, otarł chustką kark i westchnął.

- Zjawy.

- Co? - wrzasnęli chłopcy, pochylając się do przodu.

Mat Wilson rozłożył ręce.

- Mówiłem, że tego nie można zrozumieć. A co dopiero wytłumaczyć.

- O jakie zjawy chodzi? - Jupe szeroko otworzył oczy. - Takie... o północy? Dzwoniące łańcuchami? jak w wesołym miasteczku?

- Może o... kościotrupy? - Pete nieraz miał z tym do czynienia.

W każdej szanującej się wytwórni filmowej dekoratorzy mają na półki sztuczne szkielety, którymi straszą co ładniejsze dziewczyny z obsługi bufetów.

Mat uderzył dłonią w biurko, aż podskoczyła ciężka rzeźba przedstawiająca rybaka z siecią. Dostał ją od poławiaczy tuńczyków za złapanie złodziei ryb.

- Nie, to nie są żarty. Żadnych kościotrupów ani dzwoniących łańcuchów.

- Więc co? - zdenerwował się Jupe.

Wilson uspokoił się. Jeszcze raz otarł kark, poszukując równocześnie w szufladzie nowej puszki piwa. Ale nie znalazł.

- George! - rozdarł się na cały posterunek.

George Lawson, podwładny Mata, zjawił się w sekundę.

- Co, szefie?

- Piwo!

Twarz chłopca zszarzała. Miał niewiele ponad dwadzieścia lat, jasne oczy, zbyt długi nos i niewielką pensję.

- Nie dadzą. Grace powiedziała, żebym bez forsy nie przychodził. Nie da na kreskę. Nie da, i już.

Czoło Mata Wilsona zmarszczyło się.

- Jak im odbiorę koncesję na sprzedaż alkoholu... - zaczął, ale się powstrzymał. - Dobra, George, wracaj do swojej roboty. Słuchajcie, chłopcy - głos sierżanta brzmiał teraz łagodnie - znacie knajpkę "Pod Zielonym Psem"?

- Tak - kiwnął głową Pete. - Na rogu Barker Street?

- Właśnie. Pracuje tam niejaka Rosalyn Conors. Kucharka.

- I ona widzi zjawy? - szepnął Jupiter z niedowierzającym uśmiechem. Ten uśmiech zdenerwował Wilsona.

- Nie przerywaj! - wrzasnął, aż się zatrzęsła szafa na akta. - Słuchaj uważnie, bo nie mam zwyczaju powtarzać!

Obaj chłopcy wtulili głowy w ramiona.

- W porządku, szefie - Jupe kichnął. - Nie chciałem...

- I co? Ta kucharka? - Pete udał, że sprawa go niezwykle interesuje, choć tak naprawdę myślał o meczu koszykówki Dodgersów.

- Rosalyn to starsza kobieta. Matka pięciorga dzieci. Nie jest histeryczką. Z niejednego pieca chleb jadła. Została sama, gdy najmłodsze miało rok. Mówię o tym dlatego, żebyście wyrobili sobie właściwe zdanie. Gotuje od dwunastu lat. Knajpa należy do jej szwagra. Otóż... - Mat Wilson zawiesił głos - owa Rosalyn przyszła wczoraj na mój posterunek ze skargą. Kiedy zmywała naczynia, a robi to, gdy już knajpa jest zamknięta...

- To znaczy... o północy? - odważył się trącić Jupe.

- Tak jest. O północy. Wtedy właśnie pojawiają się za oknem zjawy. Czy też duchy. Codziennie. Od tygodnia.

Pete ze świstem wypuścił powietrze.

- Tak... regularnie?

- Właśnie.

- Oczywiście sprawdził pan to, co mówiła Rosalyn? - Jupe zmienił papierową chusteczkę. Katar narastał.

- Oczywiście. Postawiłem tam wóz patrolowy z Lawsonem w środku.

- I co? - wykrzyknęli prawie jednocześnie.

Mat rozłożył dłonie.

- Były tam. Zjawy. Albo raczej jedna.

Jupiter Jones przygryzł wargi. Wielki Mat Wilson, postrach złodziei i bandziorów, uwierzył w duchy?

- A pan? Gdzie pan był wtedy?

- Ja? - Wilson otarł kark. Przyjrzał się własnej, mokrej chustce. Nadawała się do wyżęcia. - W barze. Wewnątrz.

- Aha - mruknął Pete. - I też pan coś widział?

Oczy sierżanta zabłysły niczym stal.

- Widziałem. Coś białego. Dużego. Z otworami na oczy.

- Kaptury Ku-Klux-Klanu? - Jupe obserwował zachowanie policjanta.

- Nie całkiem. Głowę ten duch miał okrągłą. Niczym dynia podczas święta Halloween!

Chłopcy spojrzeli po sobie.

- Nie czas teraz na święto duchów. Czy George próbował to coś gonić?

Mat znów położył buciory na biurku. Lewy obcas nadawał się do wymiany.

- Tak. Wołał: "Policja, stój, bo strzelam!" Oddał nawet trzy strzały w powietrze. Znaczący... ostrzegawcze. Ale nic. Toto się rozpląnęło w krzakach.

- Tam jest skwer. Faktycznie. Z dość gęstą zielenią. Chce pan, sierżancie, żebyśmy się tym

zajęli?

Mat Wilson klasnął w wielkie dłonie.

- Sami rozumiecie, chłopcy, że to nie jest sprawa dla policji. jeśli po Rocky Beach rozniesie się wieść, że po nocach gonimy duchy, wszystkie rzezimieszki dostaną ataku śmiechu. I mój, tak ciężko wypracowany, autorytet legnie w gruzach. A Rosalyn nie da nam spokoju. Jest potwornie wyszczekaną babą. Ostatnio ciężko przestraszona. Rozumiecie, w czym rzecz?

Jupe skinął głową. Z powodu kataru ciężko myślał, ale nie aż tak, by nie zainteresować się duchem.

- Dobrze. Zajmiemy się tym. Ale proszę uprzedzić Rosalyn Conors. Bo jeśli nas przegoni...

- Zrobi się. A ja się wam zrewanżuję. Jak przyjdzie pora. - Powieki Mata Wilsona opadły. Widać było, że marzy mu się drzemka.

Chłopcy cicho wyszli. Tuż za drzwiami czekał George Lawson. Jego długi nos czujnie węszył.

- Dał wam tę robotę?

- Tak. Powiedz, George, co takiego właściwie widziałeś?

Młody chłopak obciągnął policyjny pas. Zabrzęczała para osobistych kajdanków.

- Trudno powiedzieć...

- Musisz to z siebie wydusić - Jupe pociągnął nosem - inaczej nie weźmiemy sprawy, a Mat...

- Już dobrze! - Lawson skrzywił się, jakby go zmuszano do zjedzenia cytryny. - Siedziałem w wozie zaparkowanym przy krawężniku...

- Naprzeciw knajpy?

- Tak. Regulaminowo. O północy, a spojrzałem na zegarek, coś białawego pojawiło się na wysokości okna.

- Którego? - Jupe uznał to za ważny szczegół.

George Lawson zdziwił się.

- Czy to ważne? No dobrze, to było okno z prawej strony.

- I co dalej? - Crenshaw słuchał z zainteresowaniem. Wychowany na hollywoodzkiej produkcji, pamiętał te wszystkie opowieści o strachach i duchach. Kiedy był dzieckiem, naprawdę się bał. Później, gdy dzięki ojcu przyjrzał się trikom technicznym, strach minął.

- To coś płynęło górą... - Lawson zająknął się. - Chcę powiedzieć, że nie szło na nogach. Było jak duch: niematerialne. Łeb baniasty, z otworami na oczy. Usta - czarna dziura, jakby miało zamiar wrzeszczeć. Tułów wydęty, zwężający się ku dołowi.

Jupiter Jones roześmiał się szczerze. Ten opis do złudzenia przypominał mu kreskówkę Disneya o dobrym duszku.

- Dzięki, George. Bardzo to dokładnie opisałeś. Ale co się stało potem?

- Kiedy wysiadłem z wozu i strzeliłem na postrach?

- Właśnie.

Lawson wzruszył ramionami.

- Nic. Rozpłynęło się.

## ROZDZIAŁ 2

### CO WIDZIAŁA ROSALYN CONORS?

Wieczorem spotkali się wszyscy w Kwaterze Głównej. Była to obszerna część dawnego magazynu rybackiego. Od dwóch lat cały teren nad zatoką był opuszczony. Poławiacze tuńczyków przenieśli się bliżej portu w San Pedro, a zabudowania miały zostać rozebrane. Lecz spółka, która wydzierżawiła teren, zbankrutowała. Z pomysłu stworzenia tu nowoczesnego portu jachtowego zrezygnowano. Władze stanowe wydzierżawiły teraz resztki przeróżnym przedsiębiorcom, którzy magazynowali tu Bóg wie co. Dzięki dobrym układom z Radą Miejską - Trzej Detektywi wprowadzili się do obszernego pomieszczenia, dotąd pustego. Byle jakie meble dała im ciotka Matylda ze swojego składu złomu. Tak więc oprócz wiecznie psującej się lodówki, stołu i krzesel oraz wielkiego biurka, pamiętającego czasy, gdy Kalifornię przyłączono do Stanów Zjednoczonych, w Kwaterze Głównej pojawiły się: telewizor, komputer i telefon. To było królestwo Boba. Tylko on, bez najmniejszych trudności, włamywał się do różnych sieci, jeśli musiał znaleźć potrzebne informacje.

- Co proponujesz, Jupe?

- Porozmawiam z Rosalyn Conors. Sami wiecie, że nie wierzę w duchy. Jeśli się pokazują - to znaczy jedno: ktoś ma w tym jakiś cel.

- Żeby straszyć kucharkę? Matkę pięciorga dzieci? - Crenshaw łaził od ściany do ściany, denerwując tym Boba.

- Co mają do tego dzieci?! - zirytował się. - Usiądź, Pete, bo czuję, że mi głowa jeździ niczym na łożyskach kulkowych!

Ale Crenshaw musiał być stale w ruchu. Taką miał konstrukcję psychofizyczną.

- Dobrze. Pogadamy z Rosalyn. Trzeba przed knajpą zrobić zasadzkę. O północy.

Jupiter Jones skinął głową.

- O.K. Pojedziemy moim gruchotem. Zaparkuję dokładnie w tym samym miejscu, gdzie stał radiowóz. Zostaniecie w środku. Bob weźmie starą kapitańską lunetę. Widać przez nią każdą drobinę kurzu.

- A ty? - Pete nie był zachwycony perspektywą siedzenia bez ruchu w aucie.

- Ja w tym czasie poplirtuję z Rosalyn. Może któreś z jej dzieci wygłupia się, by nastraszyć matkę?

Ale gdy o jedenastej dwadzieścia Jupiter Jones wszedł na zaplecze baru "Pod Zielonym Psem",

zorientował się natychmiast, że aby przestraszyć kucharkę, należałoby co najmniej podłożyć pod zlewozmywakiem bombę atomową.

- Czego tu?! - wrzasnęła, dostrzegłszy chłopca. - Do kuchni wstęp wzbroniony! A tak w ogóle, to niczego już nie podajemy.

Jupe przywołał na wargi uśmiech numer dziewięć: był najbardziej niewinny. Można rzec - dziecinny. Nabierały się nań wszystkie kobiety od sześciu do dziewięćdziesięciu lat.

- Jestem detektywem. Jednym z trzech. Dwaj pozostali patrolują teren na zewnątrz. Przysłał nas Mat Wilson. Sierżant Wilson.

Gruba Murzynka o szerokim nosie i małych, czarnych ślepkach zamarła ze ścierką w dłoni.

- Wiem, kto to Mat. Ale pierwsze słyszę, żeby dzieciaki pracowały jako de... te...

- Jesteśmy Trzema Detektywami. Oto nasza wizytówka. - Jupe wyjął z portfela świeżo wydrukowaną kartę. Wyglądała tak:

## **TRZEJ DETEKTYWI**

**Badamy wszystko**

**???**

**Pierwszy Detektyw . . . . . Jupiter Jones**

**Drugi Detektyw . . . . . Pete Crenshaw**

**Dokumentacja . . . . . Bob Andrews**

Kobieta przyjrzała się kartonikowi z daleka. W jej oczach na moment zabłysło przerażenie. Nikt nie powinien się domyślić, że... nie umie czytać!

- Nie trzeba - wybąkała. - Wierzę.

Jupiter Jones rozejrzał się po przestronnym wnętrzu. Obok wielkiego, starego paleniska stała kuchnia elektryczna, lepka od brudu. Garnki-olbrzymy kryły w sobie tajemnicze dania. Ale powłoka tłuszczu wskazywała, że nie czyszczono ich od czasu, gdy Los Angeles uzyskało prawa miejskie. A było to w 1850 roku. Zapach ulatniający się spod przykrywy nie był niemiły. Kojarzył się z zupą rybną z dodatkiem krabów i dużej ilości hiszpańskich ziół.

- Co właściwie się tu dzieje?

Kobieta usiadła na zydlu. Jej potężne uda obciążnięte cienką materią w kwiaty wyglądały niczym fragmenty starożytnej rzeźby. Usta drżały, jakby miała się rozpłakać.

- Coś mnie tu straszy. Zawsze o północy. Dziś pewnie też przyjdzie. Boję się sama wychodzić. Być poza domem. Prosiłam nawet starszego syna, żeby...

Drzwi kuchni skrzypnęły. Stał w nich chudy jak szczapa nastolatek w kolorowym dresie i czapeczce Dodgersów.

- Matka? Wszystko w porządku?

- Tak, John. Odprowadzisz mnie do domu, jak tu skończę.

- Cześć - powiedział Jupe. - Jestem detektywem. Moi kumple siedzą w wozie na zewnątrz. Chcę tu zostać do północy.

Chłopak wzruszył ramionami. Zajrzał do garnka.

- Możesz zjeść, John. Zupa już dochodzi. Jutro będzie w karcie dań.

- Jako superoferta "Zielonego Psa"?

Jupiter nie roześmiał się tylko dlatego, że za oknem coś się pojawiło. To coś było okrągłe, baniaste i miało wielki puste oczodoły. Przepłynęło raz i drugi.

- Jest! - wrzasnęła Rosalyn. - Północ! - jej duży czarny palec wskazywał elektryczny zegar. Wskazówki przesunęły się po białej tarczy. Jupiter wstrzymał oddech. Błada fosforyzująca poświata przybliżyła się do szyby. Rozległ się długi, rozpaczliwy jęk. Ale to nie jęczała Rosalyn. Ani jej syn. Obydwoje, jak skamieniali, wpatrywali się w szybę.

Jupiter wybiegł z kuchni. Żeby znaleźć się po drugiej stronie okna, musiał pokonać całą długość restauracji, małego przedsionka i solidne drzwi z tekowego drewna. Gdy już wpadł w czerń nocy, ujrzał dwa promienie latarek i usłyszał głos Boba:

- Tutaj, Pete! Tędy zwiął!

Jupiter sadził wzdłuż ściany baru. Za węglem zderzył się z Crenshawem. Obaj runęli na chodnik.

- To ty, Jupe?

- Ja. Nic ci się nie stało?

- Nie. Goniłem coś. Albo kogoś. Wiesz, jaki mam dobry czas na setkę. Ale toto wiało niczym tornado.

Bob nie wysiadł z auta. Z lunetą przy oku usiłował łowić cień białej zjawy. Gdy chłopcy zbliżyli się do forda, wybąkał:

- W życiu czegoś takiego nie widziałem!

- Czego?

- Od dołu to był człowiek. W każdym razie wiał na dwóch nogach. Od góry duch!

Pete rozcierał kolano.

- Znam te triki. W filmie, którego akcja działa się w starym zamku, ojciec robił coś takiego. To był biały balon z wymodelowaną rozdziawioną gębą. I ruszającymi się oczyma. Balon nie z gumy nadmuchanej powietrzem, tylko z plastycznej tkaniny. Używają jej wszyscy do efektów specjalnych.

Jupiter Jones oddychał szybko. Nic znosił biegania. Może dlatego, że miał całkiem porządną nadwagę.

- Chcesz powiedzieć, że ktoś z wytwórni zadaje sobie tyle trudu, by nastraszyć Murzynkę z knajpy "Pod Zielonym Psem"? Dlaczego?

- Mogli zostać wynajęci. Za pieniądze ludzie z MGM zrobią wszystko. Nie tylko ducha.

- Po co?

- To właśnie należy zbadać!

Cóż. Trzej Detektywi nie zwykli byli poprzestawać na złudzeniach optycznych. Następnego dnia, w samo południe, znaleźli na jednym z krzaków, porastających duży skwer, strzęp materii. Była taka, jak opisał ją Pete. I jeszcze nie koniec. Sprawdzili to dokładnie, udając się przez Overland Avenue do odległego o trzy mile Culver City, gdzie obecnie znajdują się olbrzymie studia Metro-Goldwyn-Mayer, po przeprowadzce tej słynnej wytwórni z Hollywoodu.

- Pochodzi stąd! - ucieszył się Pete. - Żaden duch.

Jupiter Jones wzruszył ramionami.

- To w niczym nie zmienia faktu, że ktoś straszy kucharkę. Jacy byli zdumieni, gdy dwie godziny później zadzwonił telefon z posterunku policji miejskiej.

- Tu Mat Wilson. Ktoś straszy teraz w Malibu. Taka sama biała zjawka o północy.

Jupiter skubał wargę.

- Panie sierżancie, to ktoś z wytwórni filmowej MGM. Sprawdziliśmy. Srebrzystobiały materiał jest specjalnie preparowany. Świeci w mroku. Ale duch ucieka na dwóch nogach. Kogo tym razem

nastraszył?

Mat Wilson mrucał coś niezrozumiałego.

- Wytwórnia filmowa? Bez sensu. Może coś kręcą? To wasza sprawa! Ja nie zamierzam zajmować się duchami. W każdym razie wczoraj taki sam meldunek złożyła w Malibu niejaka... Petra Rodriguez. Sprzątaczką. Zajmijcie się tym. Bo ja mam na głowie ważniejsze sprawy! - z trzaskiem odłożył słuchawkę.

- Mat się wścieka? - zaśmiał się Bob. - Co się stało?

Jupe przekazał wiadomość pozostałym.

- W Malibu? Trzeba tam pojechać.

## ROZDZIAŁ 3

### CO WIDZIAŁA PETRA RODRIGUEZ?

Mały domek, stojący na skraju drogi powyżej Topanga Beach, tonął w karłowatych drzewkach pomarańczowych. Petra Rodriguez - wysoka, koścista kobieta koło pięćdziesiątki - marszczyła szerokie, czarne brwi.

- Detektywi?

- Tak, Chcieliśmy się dowiedzieć, co to było? Co panią tak przestraszyło, że zdecydowała się pani złożyć meldunek na policji?

Kobieta uniosła ręce nad głowę.

- Ja nie wiem, co za dureń próbuje mnie nastraszyć! Ale mój mąż mówi, że pewnie chcą nas wypłoszyć. Z tego domu. No... trochę zalegamy z opłatami.

Bob przecząco pokręcił głową.

- Pani Rodriguez - powiedział wolno - administracja nigdy tak nie postępuje. Jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Zresztą możemy sprawdzić. Ale... proszę powiedzieć, czy zna pani niejaką Rosalyn Conors? Kucharkę z baru "Pod Zielonym Psem" w Rocky Beach?

Meksykańscy przodkowie sprzątaczkę byliby zachwyceni jej temperamentem. Odrzuciła głowę, wyciągnęła dłonie, plasnęła w nie z siłą perkusisty, wołając:

- Rosalyn! Pewnie, że znam! Razem się wynajmujemy do sprzątnięcia muzeum. Wiecie, ile tam sal? Kolumn? Ile roboty?

- J. Paul Getty Museum? Tu, w Malibu?

- A jakże. Sprzątnęmy we dwie. Wielka willa. Dziwaczna. I tyle obrazów, tyle rzeźb...

Pete żuł gumę, niezbyt zainteresowany rozmową.

- Bob, co ma duch do muzeum?

- Jeszcze nie wiem.

Ale Jupiter Jones mimo kataru poczuł wiatr. Zupełnie jak pies policyjny, gdy złapie trop.

- Proszę się nie przejmować duchem. Pochodzi z wytwórni filmowej. Nie wiemy jeszcze, dlaczego panią też straszy, ale się dowiemy. Oto nasza wizytówka. Jest też telefon.

- Jeszcze jedno pytanie - drążył Bob. Był dziś wyjątkowo aktywny. - Czy sprzątnięcie muzeum

wypada zawsze w jakimś określonym czasie?

Petra Rodriguez włączyła czajnik.

- Napijcie się prawdziwej herba matę?

- Dziękujemy. Więc kiedy panie sprzątają?

Kobieta wykonywała automatyczne ruchy. Bez zbędnego gestu, niepotrzebnego kroku. Tak pracują najlepsze sprzątaczkę świata. Prawie automaty.

- Było zawsze dwa razy w roku. Generalne. Z zamknięciem sal. Ale teraz... to nie wiem. Muzeum się przenosi. Do nowego budynku. Wybudowano go za wiele milionów dolarów. Rodzina Gettych to najwięksi bogacze. Tyle że nieszczęśliwi. John, stróż z muzeum, był tu u mnie ze dwa dni temu. Powiedział, że będzie wielkie sprzątanie willi. Przed wyprowadzką ma się jeszcze odbyć jakaś wystawa. Ale jeśli i tam nas coś będzie straszło, to... na Boga, nie ruszę się z domu!

Chłopcy grzecznie podziękowali i wyszli. Już w samochodzie Pete, rozwalony na tylnym siedzeniu, wysapał:

- Myślicie, że ma to jakiś związek? Duch wśród obrazów? Widziałem stary film. Ale to dotyczyło paryskiego muzeum.

- Luwru - zgodził się Bob. - Też go widziałem. I mam wrażenie, że scenariusz nam się powtarza. Tylko że tam nie było sprzątaczek. W każdym razie nie w głównych rolach!

Jupiter ruszył, jechali wolno w dół, przez Santa Monica.

- Ktoś najwyraźniej chce tak nastraszyć biedne kobiety, żeby się bały ruszyć z domu. Trzeba się wszystkiego dowiedzieć o muzeum. Bob, ty tam byłeś?

- Tak. Z ojcem. To fajne miejsce. Muzeum mieści się w budynku będącym wierną rekonstrukcją willi rzymskiej w Herkulanum...

- Gdzie? - Pete najwyraźniej nie nadążał.

- Herkulanum. Ojciec mówił, że to miasto w starożytnej Italii. Położone nad Zatoką Neapolitańską. U podnóża wulkanu, który się nazywa Wezuwiusz. Co tak patrzysz, Pete? To w Europie. Wiem z przewodnika. Czy to wstyd?

- Nonsens, Bob. Mów dalej.

Chłopiec zmarszczył brwi.

- Mają bardzo cenną kolekcję antyków. To znaczy... greckie i rzymskie rzeźby, także poustawiane w patio. W ogrodzie jest też ogromna sadzawka obudowana marmurem. W środku, w wielu salach, wiszą wspaniałe obrazy. Malarstwo europejskie. Nie pamiętam dobrze nazwisk, ale

jeden obraz zapamiętałem, bo jest wart pięćdziesiąt milionów dolarów: niebieskofioletowe "Irysy" Van Gogha.

- I wszystko jest własnością multimilionera! - mruczał Jupe, zjeżdżając na drogę do Rocky Beach. - Słuchajcie, podział pracy jest taki... - zdecydował. - Bob siada do komputera i znajduje wszystko, co dotyczy muzeum i tego... Herkulanum. Pete raz jeszcze porozmawia z Rosalyn Conors. Ale tylko o sprzątanii.

- To znaczy? - Crenshaw nie wyglądał na uszczęśliwionego. - Mam wieczorem mecz koszykówki.

- To znaczy - ciągnął niewzruszony Jupiter Jones - że nie interesuje nas Rosalyn jako kucharka. Tylko jako sprzątaczką w muzeum. Od kiedy, kto ją zatrudnił, ile płacą, gdzie wtedy mieszka i tak dalej. Wysiada, Pete. Twoja mama, jak zawsze, coś sadi w ogródku.

- A ty? - Spytał Bob, gdy pojechali dalej. - Co ty masz zamiar zrobić?

Jupe roześmiał się cichutko,

- Muszę ułagodzić ciotkę Matyldę. Będziemy dzisiaj załadowywać obie półciężarówki. Graty z aukcji jadą do Beverly Hills. Jeśli nie pomogę, nie zdążą. A mnie potrzebna forsa na benzynę. I, jak sądzę, na bilety wstępu do J. Paul Getty Museum dla nas.

- Wezmę od taty wejściówkę. Dziennikarze mają czasami prawo do bezpłatnego wejścia. Sądzisz, że duch ma jakiś związek z muzeum?

- Mój zakatarzony nos mi to mówi. A nigdy dotąd mnie nie zawiódł. Cześć, wyskakuj.

Bob zatrzymał się z ręką na klamce.

- Wolałbym popracować na naszym komputerze w Kwaterze Głównej.

- W porządku. Klucz, jak zawsze, w dziobie kaczora.

Ten kaczor to był plastikowy Donald z disneyowskiej gromadki. Przyjechał na złomowisko ciotki Matyldy, kiedy w Disneylandzie robiono porządki. Nikt go nie chciał kupić, więc wylądował pod drzwiami kwatery. A w dziobie zrobiono skrytkę.

## ROZDZIAŁ 4

### KTO STRASZY W WILLI Z CZASÓW HERKULANUM?

Jupiter Jones ładował ciężarówki, razem z wujem Tytusem i dwoma pomocnikami. Jeden był imigrantem z Niemiec, drugi z Czech. Żaden nie mówił dobrze po angielsku, ale obaj świetnie się rozumieli. I robota paliła im się w rękach. Kiedy już ciężarówki odjechały, ciotka Matyllda zrobiła kawę i ukroiła ciasta rabarbarowego.

- Podobno szukacie ducha?

Jupiter połykał trzeci kawałek.

- Nie tyle ducha, ile kogoś, kto chce na śmierć przestraszyć dwie poczciwe kobiety.

- Ja bym zażądała policyjnej ochrony! - ciotka Matyllda krążyła wokół stołu. - Taki Mat Wilson zamyka się na posterunku i żłapie piwo, zamiast chronić praworządnych obywateli Rocky Beach.

- Druga kobieta mieszka w Malibu.

Ale to nie zbiło ciotki z pantałyku.

- Tam pewnie też jest taki wielki leń jak nasz Mat! Są siebie warci. Złapiecie ich? To znaczy... te duchy?

Jupiter Jones czuł błogi ciężar w żołądku. Teraz najchętniej wyciągnąłby się na kanapie.

- One nie są ważne. Warto się dowiedzieć raczej, kto je wynajmuje.

- Co wiesz? - pytał Jupiter Jones następnego wieczora, gdy dotarł już do Kwatery Głównej. Mimo upału jego katar nie mijał. Chłopiec zużył sześć paczek papierowych chusteczek i dwa pojemniczki kropli do nosa.

Bob oderwał wzrok od komputera. Wydawał się wyczerpany. Palec, którym przyciskał mysz, rozgrzał się do czerwoności.

- J. Paul Getty Museum - raportował, popijając oranżadę - mieści się pod numerem 17985 przy Pacific Coast Highway. Jest otwarte latem od poniedziałku do piątku od dziesiątej do siedemnastej. Poza sezonem - od wtorku do soboty. Wstęp wolny. Ale - zawiesił głos - rezerwacji parkingu należy dokonać tydzień wcześniej. Chcesz numer telefonu?

- Po co? Dokumentacja to twoja działka. - Jupiter wydmuchał nos. - Co jeszcze?

- Muzeum nosi imię znanego multimilionera o zamiłowaniu kolekcjonerskich, który przed śmiercią, w 1974 roku, udostępnił społeczeństwu swoje bogate zbiory.

- Kto dziś pokrywa koszty? Jakaś fundacja?

- Nie. Muzeum opiera swój budżet na dochodach z firmy naftowej Getty Oil Company.

- O, do licha! - Jupe wyciągnął nogi i oparł je o stół. - W takim razie to najbogatsza placówka muzealna świata!

- Dlatego rodzina postanowiła ją rozbudować. Zbiory w willi nie były tak bezpieczne, jak będą teraz. W nowym gmachu, nie tak pięknym jak stary, jest zainstalowany najnowocześniejszy system alarmowy, jaki wynaleziono.

Jupiter Jones siedział z przymkniętymi oczyma.

- Sądzę, że nasze tajemnicze duchy interesują się starą willą. Tą z czasów Herkulanum. Może ktoś planuje napad. Korzystając z rychłej przeprowadzki...? Starają się nie dopuścić sprzątaczek... bo ja wiem? Co tam jeszcze jest?

- Ogromna biblioteka i fonoteka. I meble z epoki Ludwika.

- Jakiego Ludwika?

- Francuskiego króla. Żył w osiemnastym wieku.

Jupe w duchu musiał przyznać się do nieuctwa. Ale te wszystkie europejskie dynastie, ci monarchowie, którzy na dobrą sprawę albo toczyli wojny, albo ścinali sobie głowy na gilotynach... nie, nie był w stanie ich zapamiętać. Co innego wojna Północy z Południem. Tu, na rodzimym kontynencie.

- Zamów nam parking. Na przyszły piątek.

- O.K. Ty jesteś boss.

Pete znudzonym głosem zdawał relację z rozmowy z Rosalyn Conors.

- Bardzo się dziwiła, gdy ją spytałem, czy sprząta willę. Robi to od ośmiu lat. Twierdzi, że kucharzenia nie lubi. Za to zdecydowanie wielbi machanie mokrą ścierką. Sprzątanie to jej żywioł. I niezły zarobek. Pod warunkiem, że nie chodzi o tłuste patelnie. Obie z Petrą podzieliły pracę. Willa jest ogromna. Kilka skrzydeł. Trzeba myć okna, specjalną pastą przecierać posadzki...

- Czekaj - przerwał mu Jupiter, zdejmując nogi ze stołu. - Codziennie wracają na noc do domu?

Pete uniósł w górę palec.

- Bingo! Otóż nie. Obie kobiety tam nocują. Bywa, że sprzątanie trwa tydzień. Śpią w domku stróża. W jednym z trzech pokoi. Oprócz nich zostaje strażnik. Nazywa się... - zerknął na zmięty papierek wyciągnięty z kieszeni - John Brenton. Służy u Gettych od dwudziestu lat.

- Pogadamy z nim.

Bob wyłączył komputer.

- Zamówiłem parking przez internet. Teraz trzeba tylko czekać.

- I obserwować, czy duch znów nawiedzi biedne kobiety. Ale duch, jeśli wierzyć w nadprzyrodzone zjawy, zaatakował całkiem gdzie indziej.

## ROZDZIAŁ 5

### CO ZOBACZYŁ JOHN BRENTON?

- Pete! - Bob przygalopował z rozwianym włosiem aż do furtki rodzinnego domu przyjaciela. - Pete!

- Hej! - zawołała mama Crenshaw, unosząc się z klęczek. Miała na dłoniach długie, gumowe rękawice umazane ziemią. Sadziła na grządce różnokolorowe pierwiosnki. Wyjmowała je z doniczek i zasypywała ziemią. - Hej, Pete pojechał z ojcem na plener nowego filmu. Robią tam jakieś prehistoryczne gady. Potrzebna była pomoc. Czy coś się stało?

Bob uśmiechnął się. Nie zamierzał wtajemniczać nikogo w sprawy dotyczące Trzech Detektywów.

- No... nie. Jest mi potrzebny. Jupiter też gdzieś wyemigrował, a ja mam problem...

- Mogę pomóc? - pani Crenshaw znów przykucnęła.

- Nie. Niestety. To męska sprawa.

Dopiero po siódmej wieczorem Jupiter Jones zjawił się w Kwaterze Głównej, gdzie zastał Boba ogryzającego paznokcie.

- Gdzie byłeś? - wrzasnął Bob. - Szukałem cię przez cały dzień! I Pete też wyparował!

Jupiter zmarszczył brwi.

- Wiesz przecież, że mam obowiązki. Wuj Tytus nie ma już tyle siły co dawniej. Nasi nowi pomocnicy to imigranci. Pracują jak mrówki, ale trzeba ich popychać. Muszą wiedzieć, co i dokąd zawieźć. Dopiero się uczą języka.

- Słuchaj - Bob puścił mimo uszu całą tą tyradę. - Duch znów straszy. Tym razem to nie przelewki. Urządził nocny najazd na... nie mniej, nie więcej, tylko... - zawahał się.

- No? Wykrztuś!

- Na willę rodziny Gettych. To taka spora hacjenda z trzema basenami, zbudowana dawno temu naprzeciwko muzeum.

Jupiter Jones głośno oddychał przez otwarte usta.

- A jednak... muzeum!

- Właśnie. Sprawa była na tyle głośna, że zainteresowała prasę w Santa Barbara. Ojciec

przeczytał i...

- Dał ci znać?

- Właśnie. Konkretnie, to wyglądało tak: nocny stróż zobaczył w kępie krzewów dziwną poświatę. Księżycową. Zaintrygowany wyszedł. Był, naturalnie, uzbrojony. Sądzę, że po zęby. Ale nikogo nie dostrzegł. Tylko ducha z baloniastą głową i czarną, rozdziawioną paszczą. Twierdzi, a nie ma powodu, by mu nie wierzyć, że zjawą przeleciała ponad dachami. I znikła w ciemności.

- To się zdarzyło raz? - Jupe skubał wargę.

- Nie. Przez trzy noce. Stróż zaalarmował miejscową policję. Ale mimo zasadzki nikogo nie złapano.

- Wspaniale - mruknął Jupe. - Gdzie Pete?

- Właśnie stawia rower pod płotem.

Pete Crenshaw zdjął czerwoną baseballową czapkę i zwałił się ciężko na kanapę. Jedna z jej nóg zatrzeszczała ostrzegawczo.

- Mama mówiła, że mnie szukałeś, Bob.

- Szukałem was obu. Bo znów coś się dzieje. Tylko nie wiemy co.

Przez kwadrans Pete wysłuchiwał nowin. Potem rozpoczął swój marsz od okna do drzwi. I z powrotem.

- Na mój rozum, tu coś się szykuje. Duch to początek sprawy. Za nim stoi ktoś, kto tym wszystkim steruje. Trzeba tylko znaleźć wątek. Nić wiążącą sprzątaczkę, kucharkę, multimilionera naftowego z muzeum pełnym obrazów i rzeźb wartych miliony dolarów.

Jupiter Jones zaklaskał w dłonie.

- Tak jest. Musi być jakiś związek. Przypominam wam, detektywi, że na jutro mamy zarezerwowany parking w J. Paul Getty Museum. Obejrzymy wszystko, pogadamy ze stróżem.

Stary ford z jękiem wspinał się przez Pacific Coast Highway. Na obszernym parkingu stało już kilka samochodów. Bob wyszedł, by zapłacić.

- Wjeżdżaj, Jupe. Strażnik John Brenton jest teraz w zachodnim skrzydle.

Obszerne patio okolone było niskim, równiuteńko przyszczyżonym żywopłotem. Sama willa odznaczała się rzędem białych, marmurowych kolumn. W rozległym, świetnie utrzymanym ogrodzie stały rzeźby. Jedne kamienne, inne odlane z brązu. Przedstawiały rzymskich bogów, leśne nimfy i wspaniałych, prężących mięśnie gladiatorów.

- To jest replika willi z Herkulanum - przypomniał Bob. - Wybuch wulkanu w siedemdziesiątym dziewiątym roku naszej ery zniszczył i całkowicie zasypał miasto. Wykopaliska we Włoszech trwają od 1738 roku. Te rzeźby to też są repliki... znaczy kopie. "Śpiący faun" i "Odpoczywający Hermes". Sprawdziłem stronę w internecie.

Trzej Detektywi nie ukrywali, że muzeum robi ogromne wrażenie. Szczególnie na tych, którzy nigdy nie mieli do czynienia z europejskimi zabytkami sztuki. Prawie oczekiwali, że zza kolumny wyjdzie do nich patrycjusz w białej szacie, z laurowym wieńcem na skroni. Tymczasem ten, który się pojawił, przypominał raczej właściciela rancza gdzieś w Teksasie. Miał na głowie ogromny, przepocony kapelusz i wysokie buty z żółtej, bawolej skóry. Brakowało mu tylko skórzanych spodni i kamizelki z frędzlami. I, naturalnie, gwiazdy szeryfa w klapie.

- Wy do mnie, chłopcy? - W jego głosie brzmiało zdziwienie.

- Tak. Jeśli jest pan tutejszym dozorcą. - Jupiter był o głowę niższy od rozmówcy. I to go nieco deprymowało. Zawsze się wściekał, że natura nie dała mu słusznego wzrostu.

- John Brenton. Miałem telefon z posterunku policji...

- Że przyjedziemy - dokończył Pete. Też był zdziwiony strojem dozorca. Ale nie aż tak bardzo. Rysy twarzy, opalenizna i sposób chodzenia mężczyzny wskazywały, że młodość spędził gdzieś na polach naftowych Teksasu.

- Chcielibyśmy się dowiedzieć, kiedy willa będzie sprządana.

Brwi Brentona podjechały aż pod rondo kapelusza.

- Chodzi wam o... porządki?

- Tak, dokładnie o to.

Mężczyzna wyraźnie się stropił.

- Kiedy wyprowadzą do nowego budynku to wszystko, co ma być przeniesione.

- To znaczy: co? - Bob otworzył notes.

- Meble. Te cenniejsze. W galerii będzie potem otwarta wystawa. Dlatego galerię się opróżnia.

- Jaka wystawa? - Jupe pociągnął nosem.

- Malarstwa europejskiego. Mówiąc ściślej, instaluje się tu całą kolekcję. Własność prywatna.

Pete zmrużył oczy.

- Czyli... zanim odbędzie się uroczyste otwarcie wystawy, trzeba zrobić w willi porządki. Kiedy?

John Brenton odsunął palcem rondo kapelusza.

- Tak myślę: za dwa, trzy dni. Ale o co wam chodzi?

Trzej Detektywi nie zamierzali wtajemniczać stróża-kowboja w swoje, dość jeszcze nie sprecyzowane, plany.

- Prowadzimy pewne dochodzenie - powiedział Jupiter Jones, wyjmując świeżo wydrukowaną wizytówkę. - Jest związane z tutejszym muzeum. Gdyby... naturalnie nie musi się nic zdarzyć, ale gdyby zauważył pan coś dziwnego, to proszę...

- Co dziwnego? - Brenton potrząsnął głową. Bruzdy wzdłuż policzków pogłębiły się, nadając jego wyrazistej twarzy wyraz głębokiego zatroskania.

- No... - Pete wił się niczym piskorz. - Gdyby pan coś zobaczył.

- Znaczy... co?

- Na przykład ducha! - wypalił Bob. - Zjawę!

Dozorca mocno zacisnął wargi. W jego oczach zalśniła wrogość.

- Zgłosiłem tę głupotę na policji. Ale teraz żałuję. Jakieś dzieciaki...

Pete zamachał rękami.

- To poważna sprawa. Proszę zapytać obie sprzątaczkę. Rosalyn Conors i Petrę Rodriguez. Zresztą, nie to jest ważne.

- A co?

- Trzeba bardzo uważać. Na muzeum. Szczególnie w nocy. Jest pan tu sam?

John Brenton zachichotał.

- Nie... Mam trzy dubeltówki z nabojami na niedźwiedzie grizli. I nowoczesnego mossberga.

- Co?

Brentonowi oczy świeciły się jak wilkowi przed atakiem na stado owiec.

- Mossberg. Jednolufowa, powtarzalna broń strzelecka o kalibrze dwanaście milimetrów, z systemem przeładowania "pump-action". Służy do walki na odległość do pięćdziesięciu metrów. Szybkostrzelność: pięć strzałów w ciągu dziesięciu, piętnastu sekund. Stosowane są do niej naboje z pociskami, także śrutowe. Także akustyczne typu grom, i trzy rodzaje pocisków gumowych...

- Wow! - stęknął Jupe. - Toż to broń jak z filmów Rambo!

John Brenton oblizwał suche wargi.

- Taaa... w mossbergi i imperatory wyposażone są wszystkie plutony antyterrorystyczne!

Pete otarł czoło.

- I pan ma na to pozwolenie?

Dozorca rozciągnął usta w uśmiechu.

- Chcąc zmierzyć się z wężem, synu, trzeba pełzać po ziemi! Tak. Mam pozwolenie. I staż w Wietnamie. Niezły staż! Dobrze, chłopcy, na mnie już czas. Dziś przyjeżdża miss Pamela. Trzeba dla niej przygotować dom. Ten po drugiej stronie drogi.

Bob usiłował rozmazać zaschnięty długopis.

- A kim jest pani Pamela?

Brenton zrobił w tył zwrot.

- Właścicielka. Jedna z rodu Gettych. Bóg z wami, chłopcy!

Jupiter Jones skubał wargę. Przeczynał, że jest u progu wielkiej tajemnicy. Czuł to koniuszkami nerwów.

- Mam wrażenie, że tu coś wisi w powietrzu - powiedział, ruszając wzdłuż śnieżnobiałych kolumn. - Bob, dowiesz się, kim jest Pamela. A my, przy okazji, zwiedzimy muzeum. A raczej to, co zostało.

Wracali starym fordem ze zgrzytającą skrzynią biegów. Byli pod wrażeniem dzieł sztuki, elegancji wnętrza, wyrazistości rzeźb.

- Czym się tak martwisz? - spytał Pete Jupitera. - Ktoś ci powiedział, że nie ma świętego Mikołaja?

- Myślę o Brentonie. Facet wygląda na niezłego zabijakę. Taki nie przestraszyłby się ducha. Ciekawe, skąd rodzina Gettych go wystraszyła. Sądzę, że jest nie tylko dozorcą. On u nich służył od dawna. Ubiera się, jakby razem z nieboszczykiem Paulem pracował na polu naftowym. Dlaczego taki Rambo został skazany na posadę stróża?

Bob zapisywał coś szybko w notesie.

- Zgadza się z tobą. Trzeba dotrzeć do ludzi znających Johna Brentona.

- Masz na myśli kogoś konkretnego? - Pete żuł gumę migdałową. Cały samochód przesiąkł tym zapachem.

- No... choćby sierżanta Wilsona.

- Mata? - wzruszył ramionami Jupe. - Co on może wiedzieć poza tym, gdzie na kredyt kupić piwo!

Bob pokręcił głową.

- Nie masz racji. Mat jest wielkim misiem kochającym spokojne życie. Ale jak trzeba, wyciągnie królika z kapelusza!

- Coś jeszcze tam widziałem - Jupiter hamował koło domu Crenshawów.

- Co? - Pete był już jedną nogą na zewnątrz.

- Dobrą terenówkę marki toyota z napędem na obie osie. Stała po stronie willi. Niedaleko parkingu. I miała teksaskie numery rejestracyjne. Do diabła! - mruknął. - Chciałbym móc ten dom obserwować, jakby to rzec... z góry!

Bob wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- Rozumiem cię! Mieć czapkę-niewidkę, co? Chociaż... w dobie przelatujących nad głowami satelitów można już spojrzeć w dół zobaczyć, jak mucha wyciera sobie nogi o kawałek chleba z masłem...

Jupiter wybuchnął śmiechem.

- Marzyciel! To do jutra!

## ROZDZIAŁ 6

### SKĄD SIĘ WZIAŁ SZKOT?

Bob spędził aż dwa przedpołudnia w Los Angeles, w Central Library, masywnym gmachu biblioteki przypominającej trochę twierdzę zwieńczoną mozaikową piramidą. Przekopał się przez mnóstwo informacji, aż go rozboleła głowa. Ale dotarł do tej najważniejszej.

- To strasznie zagmatwana historia - relacjonował, gdy już każdy z detektywów zasiadł ma swoim miejscu, a Jupiter Jones przestał żuć krakersy.

- Mówisz o rodzinie Gettych?

- Tak. Sprawa ciągnie się od przeszło stu lat. Od odkrycia ropy naftowej w 1892 roku. Z myślą o jej eksploatacji i eksporcie przystąpiono do rozbudowy portów w San Pedro i Long Beach.

- Co to ma wspólnego z naszym duchem? - warknął znudzony Pete. O historii stanu Kalifornia miał wciąż dość mętne wyobrażenie.

- Nie wiem, czy z duchem, ale z fortuną Gettych. Otóż dla połączenia portu nad Zatoką San Pedro z odległym śródmieściem Los Angeles miasto zmuszone było wykupić korytarz o szerokości jednego kilometra.

- Tamtędy biegnie droga ekspresowa Harbor Trip?

- Tak. Miasto pożyczyło tę forszę.

- Od nieżyjącego multimilionera? - Pete znów zaczął krążyć po pokoju. Najwyraźniej nie mógł wysiedzieć zbyt długo na jednym miejscu. Już w szkole nazywano go "obiektem latającym".

- Było dwóch przyjaciół. I wspólników. Ten drugi to Szkot.

Jupiter Jones zachichotał.

- Wchodzimy na teren szkockiego zamku. Z duchem?

- Dalej jest jak w kowbojskim filmie: jeden przyjaciel roluje drugiego. Ten z rozpaczy pije i przegrywa w karty część pól naftowych. Kto przegrywa? Pytanie za dwa dolary?

- Szkot! - ryknął Pete przystając. - Zaś Amerykanin wkłada na łeb przepoconego stetsona i niesie obie dole do banku!

- Exnctly. Dokładnie.

Jupiter Jones tak manewrował stosem składanych krzeseł, by jak najwięcej z nich zmieściło się

na ciężarówce.

- Wujku Tytusie, odkupiłeś je od właściciela jakiegoś zbankrutowanego kina?

Wuj Tytus zaciągnął się fajką. Błękitny dymek uniósł się w powietrze.

- Jakbyś zgadł, Jupe. A teraz sprzedaję pewnemu muzeum.

Jupe zatrzymał się w pół drogi.

- Muzeum? Takie starocie? Kto dziś używa drewnianych krzeseł?

Wuj przesunął dłonią po zniszczonych oparciach.

- Jak się je pomaluje, odświeży, będzie akurat. W muzeum robią wystawę obrazów. Przedtem ma się odbyć prelekcja. Nie znam się na malarstwie, więc nic ci więcej nie powiem. Poza tym, że zgromadzi się tam cała... jakby tu rzec... elita kulturalna.

Jupiter Jones zmarszczył czoło.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że to się odbędzie w muzeum J. P. Getty'ego?

Wuj wrzucił kolejną partię krzeseł na ciężarówkę. Było ich tam chyba ze trzysta.

- Tak, właśnie oni kupili krzesła. Stolarz już zamówiony. Lakiernik też. Dlaczego pytasz? Czy to ma coś wspólnego z twoimi detektywistycznymi wyprawami do Malibu?

- Skąd wiesz, dokąd się wyprawiam?

Wuj Tytus rozłożył jedno z krzesełek. Był wyraźnie zmęczony. Ostatnio nie czuł się najlepiej i ciotka Matylda zagoniła do pomocy Jupitera.

- Od stolarza, który naprawi krzesła. Tak się składa, że znam go od dawna. Nieraz dla mnie coś robił. Szczególnie wtedy, gdy trafiały nam się antyki z wyprzedaży w Beverly Hills. Nazywa się Andrew Mc Hill. Pół Meksykanin, pół Szkot. Od czasu do czasu pracuje dla muzeum. Widział was, jak rozmawialiście z kowbojem.

- Mówisz, wuju, o dozorczy J.P. Getty Museum? Rzeczywiście wygląda, jakby zszedł z planu filmowego "Dyliżansu" Forda. Ten twój stolarz dobrze zna kowboja?

- Wiem tylko, że go nie lubi. Nikt go tam nie lubi. Myślę o obsłudze.

Jupiter Jones miał się nad czym zastanawiać. Wszystko ostatnimi czasy łączyło się z rzymskim muzeum: duchy, sprzątaczkę, dozorca, a nawet... stolarz! I krzesła!

- Zawiozę tam nasz ładunek. Masz coś przeciwko temu?

Wuj Tytus wypukał popiół z fajki.

- Nic a nic. Nasi pomocnicy-imigranci, choć doskonali kierowcy, nie potrafią się jeszcze dogadać. Jedź, Jupe.

- Dobrze. Wezmę ze sobą Crenshawa.

Półciężarówka skręcała w bramę parkingową. Obaj chłopcy, siedząc na stosie krzeseł, cieszyli się, że ta koszmarna jazda już się skończyła.

- Bóg nam wynagrodzi te niewygody życiowe! - powiedział filozoficznie Jupe, niezdarnie złącząc. Pete załatwił to jednym skokiem.

- Powinieneś się więcej ruszać, Jupe.

Pierwszy Detektyw skrzywił wargi.

- Ważne jest to, z jaką szybkością ruszają się moje szare komórki! Uwaga, nadchodzi kowboj!

John Brenton nadciągał kołyszącym się krokiem. Dziś bardziej przypominał Johna Wayne'a z jego wczesnych filmów o Dzikim Zachodzie.

- Wyładujcie tutaj - wskazał palcem część placu. - To znowu wy?

Jupiter Jones wzruszył ramionami.

- Tak się składa, panie Brenton, że mój wuj, Tytus, jest właścicielem składu w Rocky Beach. I to on zlecił mi załatwienie sprawy. Pracuję na kawałek chleba.

Brenton wyszczerzył zęby.

- No, to do roboty!

Pete harował niczym niewolnik. Razem z kierowcami udało się zrzucić - i nie uszkodzić - prawie trzysta krzeseł. Były tak stare jak Hollywood. I jego pierwsze kina.

- Myślałem, że spotkamy tu Meksyko-Szkota - zmartwił się Jupiter Jones.

- Cała zagadka z duchem zaczyna przypominać książkę telefoniczną stanu Kalifornia. Gdyby taka istniała, naturalnie!

- Byłaby grubsza od Rosalyn Conors! - roześmiał się Jupe. - Dlaczego tak sądzisz? -Jupe wdrapywał się niezdarnie po kole. - Pomóż!

Pete podsadził przyjaciela.

- Wciąż jesteś “Małym Tłuscioszkiem”! Nie mógłbyś czegoś z tym zrobić? - zabębnił w dach szoferki. - Jedziemy!

Jupiter Jones nachmurzył się. Tego tematu nie lubił najbardziej.

- Uważasz, że za dużo ludzi w tej “dusznej” łamigłówce? Koleś, to dopiero początek. Hej, co się dzieje?

Ciężarówka gwałtownie przyhamowała, lekko zarzucając. Obok, z wyciem klaksonu, przemknęła limuzyna. Tylko dzięki przytomności umysłu kierowcy ciężarówki nie doszło do czołowego zderzenia, Limuzyna z przyciemnionymi szybami świsnęła niczym huragan znad Pacyfiku.

- Co to było? - Pete obmacywał kolano. Rąbnął nim o leżący na pace kanister.

- Chyba ktoś z tej cholernie bogatej rodziny! - Teraz Jupe zabębnił w dach szoferki. Ciężarówka ruszyła w dół, wolno i ostrożnie. - Jechał jak wariat!

Pete wystawił głowę.

- Zatrzymał się przy bramie. Tej z czarnych sztachet ze złotymi strzałkami. Otwiera się za pomocą elektronicznego zamka. Tak, masz rację. To ktoś z tej rodziny.

Umysł Jupitera pracował na najszybszych obrotach.

- Miss Pamela. Tak powiedział dozorca. Oto nowe zadanie dla Boba. Coś mi się wydaje, że poznamy od podszewki całe drzewo genealogiczne rodziny multimilionerów.

Bob wyłączył komputer. Przetarł oczy.

- Jest. Pamela Crowford. Prawnuczka i jedna ze spadkobierczyń naftowego potentata. Właścicielka domu w Malibu. Oprócz tego administruje... to nie do wiary! Zamkiem szkockim!

-W Szkocji?

- Ale skąd! Tu, w Stanach. Prastary Getty kupił w latach trzydziestych zamek szkocki. Kazał go rozebrać i kamień po kamieniu przewieźć do Ameryki. Tu go złożyli do kupy i...

- Stoi gdzieś w Teksasie?

- Tak. W okolicach San Antonio. Nic tam nie przypomina szkockich wrzosowisk. W zamku nikt już nie mieszka. Tylko się go zwiedza za trzy dolary. Tanio, jak na autentyk. - Bob ziewnął szeroko. - Idę do domu.

Pete też uniósł się z kanapy.

- Mam w głowie galaretę. Już mi się wszystko pomieszało. Czy mógłbyś, Jupe, zrobić z tego

krótki bryk?

Jupiter Jones poważnie skinął głową. To było coś, co w pracy detektywa uwielbiał ponad wszystko. Nawet ponad boczek z pomidorami i ciasto rabarbarowe ciotki Matyldy.

- Mówiąc krótko, jak w sądzie: sprawa Getty kontra Szkot. Pamiętacie, zaczęło się na polach naftowych. Dwóch przyjaciół, z których jeden roluje drugiego. Szkot jest graczem. Hazardzistą. Traci pole naftowe. Ale nie cały majątek. Wraca do Szkocji, odnawia swą rodzinną posiadłość, czyli stary zamek. Ale nienawiść do dawnego druha rośnie niczym ciasto drożdżowe. Czymś zaskutkuje. Czym? Jeszcze nie wiemy. Ale się dowiemy.

- A po latach następne pokolenia dumnych Szkotów przystępują do kontrataku. - Pete stał z ręką na klawce. - I straszą.

Jupiter Jones kiwał się na stołku. Wciąż zapominał naprawić jedną z nóg.

- Tak podejrzewam. To tylko hipoteza.

Bob niemrawo szeleścił swoimi notatkami. Urosły przez ostatni tydzień w niezły stosik. Nikt, poza nim, nie potrafiłby się posługiwać taką ilością fiszek.

- Hipoteza niczym nie poparta - wystękał. - Ale nieźle wyedukowana. Muszę to wszystko przepuścić przez komputer. Jakoś uporządkować.

- Chwała ci za to - Jupiter czuł burczenie w brzuchu. Czas kolacji dawno minął. - Chciałbym tylko wiedzieć, jak się ten Szkot nazywał.

Bob znów zaszeleścił.

- Żaden problem. Mam go tutaj. Nazywał się... Malcolm Foster.

## ROZDZIAŁ 7

### MALCOLM FOSTER WCHODZI DO AKCJI

Duch pojawił się o północy. Na dodatek w towarzystwie. Dwa balony ze strasznymi oczami latały nad składem złomu, płosząc ciotkę Matyldę. Przywołany Jupiter Jones, ziewając, wzruszył tylko ramionami.

- W porządku, ciociu. To efekty specjalne. Filmowe. Sprawdziliśmy.

- Ale... - ciotka nie ustępowała. Jej zalęknione oczy błagały o sensowniejsze wyjaśnienia. - Nigdy dotąd nikt...

Wuj Tytus, w pizamie w pasy, przestępował z nogi na nogę.

- Skoro Jupe twierdzi, że to nic groźnego... Matyldo, czy mogłabyś wrócić do łóżka? - bosa stopy wuja wykonywały coś na kształt tańca pary rozsierdzonych kogutów.

Ciotka zmeła w ustach zapewne niecenzuralne słowo.

- W głowie się to nie mieści. Straszą człowieka, a policja śpi.

Jupiter Jones wyrzął przez okno.

- Prymitywizm! Czy ci durnie nie wiedzą, że tu mieszka jeden z detektywów?

Baniasty łeb z wielką dziurą ust, otwartych jak do krzyku, zbliżył się niebezpiecznie do szyby. Drugi, zielonkawy, rozświetlił oczodoły na czerwono. Nie da się ukryć, że wyglądał upiornie.

Ciotka Matylda pisnęła niczym mysz złapana w pułapkę.

- Jupe, zrób coś!

I Jupiter zadziałał. Zrobił coś, czego nikt, nawet on sam, się nie spodziewał. Wyjął z szuflady procę, której używał jako nieznośne dziecko, wybiegł z domu i nie zastanawiając się, strzelił solidnym kamieniem w zieloną zjawę.

Efekt był piorunujący. Balon pękł z hukiem, a ktoś, zapewne człowiek nim manipulujący, potknąwszy się, runął na stos starego żelastwa.

Wuj Tytus boso, z tasakiem do mięsa, ruszył szybko w kierunku, skąd dobiegł cichy jęk. Jupiter przytomnie skierował tam światło latarki. Długonogi cień, kulejąc i pojękując z bólu, uciekał w kierunku bramy.

- Za nim! - wrzasnął wuj Tytus. Biedak, zapomniał, że jest boso. Zderzenie palca z odłamkiem żelaznej rury było bolesne. - Auuu!

Jupiter Jones klął w duchu własną ociężałość. Nawet kulejąc duch był szybszy. Jednym skokiem przesadził wysoki płot. Prześliznął się na drugą stronę i zniknął w ciemnościach.

- Tyle wiemy, że zjawa ma dwie nogi i kuleje - westchnął wuj, patrząc smętnie na obandażowaną stopę.

- A ty o mały włos nie straciłeś palca! - warczała ciotka Matylda, chowając jodynę i zestaw plastrów.

- Dobrze, już dobrze. Zgłoszę to na posterunku.

Jupiter wybuchnął nieopanowanym śmiechem.

- Mat Wilson się ucieszy! Właśnie nam powierzył sprawę duchów.

Wujek spieszył się.

- Nie wiedziałem. To dlaczego nas straszą?

Jupiter z żalem odłożył procę.

- Bo ktoś chce, żebyśmy się w to nie mieszcali.

- To znaczy kto? - ciotka myła ręce.

- Jeszcze nie wiem. Ale ci straszący są w gruncie rzeczy dość naiwni. I to mnie martwi. Przyznaję, że wolę mieć do czynienia inteligentnym przeciwnikiem. A mój wróg ma iloraz inteligencji na poziomie kalafiora! Nie cierpię głupców!

- Idziemy spać! - ciotka wymaszerowała z kuchni. Wuj Tytus, kulejąc, udał się za nią. Tylko Jupiter ukradkiem wyjął z lodówki kawałek czekoladowego ciasta. Lubił coś żuć, podczas gdy jego szare komórki pracowały.

- Dureń! - wysapał. - Próbować nastraszyć mnie? Najlepszego z Trzech Detektywów? To jakby wydać na siebie wyrok śmierci!

- Pamela Crawford stoi na czele fundacji kulturalnej rodzinnej firmy Getty Oil Company - raportował Bob, gdy już się pośmiali z nocnej przygody w domu Jonesów. - Dlatego przyjechała. Widać pańskim okiem dogląda przeprowadzki dzieł do nowej siedziby.

Jupiter zmarszczył brwi.

- A co ze Szkotem? Tym... no, Malcolmem...

- Fosterem - dokończył Bob. - Niewiele wiem na jego temat. W żadnej ze znanych mi bibliotek nie spotkałem się z tym osobnikiem. W internecie też nie. Nic bliższego poza tym, co już wiemy.

Pete zamyślił się głęboko. Nawet przestał spacerować od ściany do ściany.

- A kto mógłby nam pomóc?

Pozostali detektywi wzruszyli ramionami.

- Nie pojedziemy, niestety, do Szkocji. Za daleko. I za drogo. Może trzeba pociągnąć za język stolarza? Jest pół Meksykaninem, pół Szkotem.

- Andrew Mc Hill! Jasne! - trzepnął się w głowę Bob. - Kto to załatwi?

- Ja. - Jupiter Jones smętnie patrzył na puste opakowanie po chrupkach. - Wuj Tytus leczy stopę i nie pojedzie do Los Angeles po rzeczy z aukcji. Mam wolny czas.

- Ja, niestety, nie - odparł Bob wstając. - Muszę pomóc tacie. Píše teraz o rozsypujących się trybunach Memorial Coliseum.

- Na stadionie? - zdziwił się Pete. - Przecież remontowali go przed olimpiadą w osiemdziesiątym czwartym!

- Widać niezbyt dokładnie! - mruknął Bob. - No, lecę!

Jupiter Jones nie lubił tej dzielnicy. Co prawda, wybiegająca znad Pacyfiku malownicza droga Topanga Canyon przecina nadbrzeżny grzbiet gór Santa Monica, ale już w kotlinie San Fernando, niedaleko Van Nuys, mieszczą się liczne montownie koncernu General Motors. I złomowiska, wśród których pojawiły się blaszane budy. Małe domki w ogródkach sąsiadują z tymi wzniesionymi z blachy i tektury. Na szczęście szkocki stolarz mieszka wśród kwitnących krzewów bugenwilli. Jego zielony dom z brązowymi okiennicami wskazywał na jaką taką zasobność. Mężczyzna stał na ostatnim szczeblu drabiny, przybijając jedną z osuwających się płyt dachówkowych.

- Pan Andrew Mc Hill? - spytał Jupiter, rozgarniając gęste, dawno nie strzyżone krzewy.

- Bo co? - odburknął zapytany.

- Przysłał mnie wuj Tytus. Jestem Jupiter Jones. Jeden z Trzech Detektywów.

Stolarz, nie odwracając się, zaczął złazić. Ostrożnie stawiał stopy na kolejnych szczeblach.

- Aha. Już wiem.

Gdy się odwrócił, Jupe zamarł ze zdumienia. Mieszanka meksykańsko-szkocka dała zaiste zdumiewający efekt. Twarz gospodarza miała ciemną, prawie brązową barwę. Jego oczy błyszczały niczym najlepsza meksykańska fasola. Ale gęste białe brwi i szczotka wąsów pasowały raczej do szkockiej spódniczki. Wąski nos i biała czupryna też były północnoeuropejskie.

- Czy moglibyśmy porozmawiać? - Jupe uśmiechnął się.

- Dobrze. - Gospodarz odłożył solidny młotek. Usiadł na ławce stojącej pod oknem. Jupiter upadł z ulgą na wygodny pień. Jego szerokość i kolor wskazywały na starą, dorodną sekwoję. - Co chcesz wiedzieć?

- Widzi pan... - zaczął Jupe. - Pracuję teraz nad czymś, co ma związek zarówno z J. Paul Getty Museum, jak i ze starą, zieloną Szkocją.

Mc Hill rozciągnął usta. Przesunął palcami po wąsach.

- To dobrze trafiłeś, synu. Moja nieboszczka babka znała wszystkie stare legendy o Gettych i Fosterach.

Jupiter Jones o mało go nie uściskał.

- Słyszał pan o Malcolmie?

- Malcolm Foster? A jakże! Stary pijus i gracz. W kości, karty i na walkach kogutów przejechał cały swój majątek. A było co. Pola naftowe w Teksasie, złoto w Kalifornii...

- Nie mógł jednak stracić wszystkiego, skoro stać go było na utrzymywanie zamku?

Stolarz przyglądał się własnym, silnym dłoniom.

- Taaa... - wymruczał. - Babka twierdziła, że po powrocie z Ameryki już go nie było stać na ten rodzinny interes. Cała rodzina poszła w rozsypkę przez jego złe nawyki. Malcolm Foster przeklął na łożu śmierci swojego byłego współnika. Twierdził, że został okradziony. Że papiery podpisał po pijanemu.

- Możliwe - westchnął Jupe. - To były pionierskie czasy. Może Getty rzeczywiście oszukał starego kumpla. Co dziś dzieje się ze szkocką rodziną?

Mc Hill wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Moja matka, już po śmierci babki, słyszała, że część rodziny Fosterów zjawiała się w Ameryce. W czasie drugiej wojny światowej. Podobno uciekali przed hitlerowcami. Sądziła, że Niemcy wejda na wyspę. Dokładnie nie wiem. Ale jakoś zniknęli z oczu Gettych.

- Albo się ukryli. I czekają na odpowiedni moment.

- To możliwe. Mój dziadek był Meksykaninem. Ale babka Szkotką z Szetlandów. Oni mieli też własnego... ducha. Jak to w Szkocji!

- Pozostańmy przy naszych duchach! - zdenerwował się Pete Crenshaw, gdy już wszystko zostało dokładnie opowiedziane.

- Do... dobrze! - Bob walczył z uporczywą czkawką. Zbyt szybko pił coca-colę. - Ale te wszy...

wszystkie zjawy są ja... jakoś ze sobą powiązane! Jak pęk baloników. I co teraz?

Jupe skubał wargę. Myślał bardzo intensywnie.

- Poczekamy na następny ruch. Coś się przecież musi wydarzyć. W przeciwnym razie cały ten wstęp nie miałby sensu. Co słyhać u naszych bohaterów? Mam na myśli Rosalyn i Petrę.

- Szorują marmury - odparł Pete. - Obie przeniosły się już do domku ogrodnika. Obok muzeum. W piątek odbędzie się otwarcie wystawy malarstwa. Obrazy są ubezpieczone na grube miliony.

Bob potakiwał.

- Wiem. Tato się wybiera. Także różne telewizje. W sumie wielkie, kulturalne widowisko. Otwiera je Pamela Crowford.

Jupiter zerwał się z kanapy.

- My także musimy tam być! Kto załatwi wejściówki?

Bagatela. Sprawa okazała się niemożliwa. Otwarcie wystawy stało się najważniejszą imprezą dla całej kalifornijskiej elity. Bilety kosztowały pięćset dolarów, a dochód przeznaczono na dziecięcy szpital w Sacramento. Obowiązywały imienne zaproszenia drukowane na czerpanym papierze sprowadzonym z Holandii.

- Nic nie można zrobić? - martwił się Jupe.

Bob kręcił się na stołku bez nogi.

- No... tato obiecał, że mnie weźmie. Zaproszenia są na dwie osoby. Koszt pokrywa gazeta. Kilku stacji telewizyjnych w ogóle nie zaproszono. Dziennikarze są wściekli. Tłumnie pojawi się natomiast Beverly Hills. Aktorzy, reżyserzy... jak zwykle.

Jupiter szalał z wściekłości.

- Akurat ich to obchodzi!

- Usiądź, a zobaczysz pogrzeb swego wroga! - zdenerwował się Bob. - Tak mawiali starożytni. Ci z Herkulanum. Opowiem wam wszystko. Pożyczę kamerę od Vanessy. Potem obejrzyjecie całą uroczystość.

- Dobrze ci mówić! - Jupe wciąż był wściekły. - Może Mat Wilson wkręci nas do policyjnej grupy?

Pete popukał się palcem w czoło.

- Nie świruj. Co ma nasz Mat do policji w Malibu? Z uwagi na rangę gości będzie się tam roiło od federalnych.

- Fakt. Czytałem prasę.

Pete roześmiał się.

- Ostatnio czytuję wyłącznie napisy na banknotach! I to najniższych nominałów. To co? Bob nas reprezentuje?

Jupiter zwiesił głowę.

- Zjedz coś! - zachęcała ciotka Matylda, patrząc w zadumie, jak siostrzeniec dłubie widelcem w sałatce z tuńczyka.

- Nie mam apetytu - wyjęczał Jupe, zerkając na ekran telewizora. CBS właśnie transmitowało otwarcie Wystawy Malarstwa Europejskiego ze zbiorów J. Paul Getty Museum oraz Prado i Luwru.

- Nic nie widać! - wściekał się wuj Tytus. - Pokazują Paula Newmana z siódmą żoną zamiast obrazów!

- Bo żyjemy w cieniu Hollywoodu - westchnęła ciotka, krojąc melona o świeżym, żółtym miąższu.

- Teraz znów jakieś gwiazdki w czymś, co przypomina bieliznę - wuj ssał cybuch. Starał się ograniczać palenie.

Kamera przejeżdżała swobodnie z jednej twarzy na drugą. Tłum w rzymskiej willi gęstniał z minuty na minutę.

- No, nareszcie jakiś obraz!

- Komentator powiedział, że to "Święta Rodzina" Rafaela - ciotka zastygła z nożem w ręku. - Nie znam się na malarstwie, ale wiem, że każde z tych płócien jest ubezpieczone na pięć do dziesięciu milionów dolarów.

- Bagatela! - westchnął wuj. - Powinny wisieć w szklanych gablotach. Kuloodpornych!

Transmisja skończyła się po dwudziestej. Cztery godziny później, dwadzieścia minut po północy, zdenerwowany prezenter dzienników donosił:

- Z J. Paul Getty Museum zniknął obraz, jedno z najsłynniejszych dzieł Rafaela. "Święta Rodzina"! Tuż przed zniknięciem w galerii podobno pojawił się duch. Postać nieżyjącego od stu lat Malcolma Fostera widziały trzy osoby: sprzątaczkę Rosalyn Conors i Petra Rodriguez oraz stróż nocny John Brenton. Malcolm Foster ukazał się w szkockim stroju. Miał na sobie kilt w kolorach należących do rodu, pantofle ze srebrnymi klamrami i nie mówił ani słowa. Stał tylko z triumfującym uśmiechem na ustach...

Niestety. Zarówno ciotka Matylda, jak i wuj Tytus chrapali od dawna. Jak zabity spał też

Jupiter. Toteż dopiero następnego dnia dowiedział się o wszystkim od rozgorączkowanego Boba, który głośno gwizdząc zza płotu, obudził go przed ósmą.

- Co takiego?

- Mówię ci. Duch Malcolma Fostera!

- Gdzie Pete? Jedziemy tam!

Bob przestał na moment machać rękami.

- Nikt nas nie wpuści!

- Sprawę ducha zlecił nam Mat Wilson. Już zapomniałeś?

Bob kręcił głową.

- Stary, tam jest kosmiczne zamieszanie. Policja stanowa i federalni. Nawet zjawa się nie przebije. Uwierz. Tato od rana waruje w krzakach. Willa jest otoczona. Siedem stacji telewizyjnych pluje sobie w brodę, że tak wcześnie wyłączyło kamery. Ale kto mógł przypuszczać, że duch zjawi się o północy?

- Jak to kto? - zdenerwował się nie na żarty Jupe. - My! Kiedy latały "nasze" duchy? O północy! Teraz rozumiesz, że były przygrywką, wstępem. Ktoś, złodziej obrazu, chciał przygotować teren do swojego "występu"! Powinienem tam być! To niewybaczalny błąd detektywów!

Pete przyjechał na rowerze. Był równie wstrząśnięty.

- Co wy na to?

- Właśnie się zastanawiamy - odburknął Bob. - Byłem tam z ojcem. Ale tylko do zamknięcia. Wyprosilili nas tuż przed koktajlem.

- W salach muzeum? Koktajl? - spytał Jupe podejrzliwie.

- Nie. W ogrodzie. Raczej w patio. Rozstawili stoły pomiędzy kolumnami. Ale tylko dla hollywoodzkiej elity. Widzieliśmy światła zza ogrodzenia. Potem wszyscy - dziennikarze i ekipy telewizyjne - rozjechali się do domów montować materiał.

- Malcolm ukazał się o północy - zastanowił się Jupe. - Dlaczego dopiero o północy? No tak, szanujący się duch powinien zjawić się z wybiciem godziny dwunastej. Ale dlaczego czekał, aż goście sobie pójdą? Chciał zrobić spektakl dwóm sprzętaczkom i kowbojowi z jednolufowym mossbergiem?

- Zwyczajnie, nie lubi tłumów.

- Możliwe - Bob poważnie kiwał głową - duchy na ogół nie pojawiają się podczas rautu. Wolą,

jakby tu rzec... odosobnienie.

- Obie sprzątaczkę zaklinają się, że był w szkockim stroju. Miał na głowie beret z pomponem, na nogach wysokie skarpety i pantofle z klamrami. Tak mówiło pudło.

- Jakie pudło?

- Telewizor. Ojciec zawsze mówi o nim pogardliwie: pudło. Jupiter Jones włożył kamizelkę. Miał w niej mnóstwo kieszonek specjalnego przeznaczenia. Mieściły cały arsenał: ogarek, zapalki, trzy kawałki kredy, paczkę gum do żucia, scyzoryk i mnóstwo okruchów z ciasta.

- Jedziemy!

Obaj pozostali powoli zwlekali się ze stołków.

- Jak chcesz. Ty jesteś boss.

## ROZDZIAŁ 8

### CZEGO PRZESTRASZYŁA SIĘ PAMELA CROWFORD?

Już za zakrętem, powyżej Topanga Beach, roiło się od samochodów. Nie tylko prasowych. Wieść o szkockim duchu, który przez nikogo nie niepokojony zwinął obraz wart dwadzieścia milionów dolarów i zniknął, lotem błyskawicy obleciała całą okolicę. Do muzeum ciągnęły wycieczki rodziców z dziećmi i dziadków z wnukami. Każdy coś do opowieści dodawał, toteż policja stanowa zarządziła blokadę drogi.

- Ani myśz się nie prześliznie - zmartwił się Pete.

- Zobaczymy. - Jupiter Jones zaparkował wiekowego forda w miejscu, skąd wycofywała się właśnie furgonetka z piekarni. - Pójdziemy pieszo.

Trzysta metrów dalej zatrzymała ich żółta taśma policyjna. A za nią stojący w rozkroku Mat Wilson.

- Hej, Mat! - ucieszył się Jupe. - Zagonili cię do pracy?

Stróż prawa obciągnął pas. Zabrzęczały kajdanki.

- I co? Mieliście zneutralizować ducha, no nie?!

Jupiter uważnie rozglądał się dookoła.

- Panu chodziło o innego ducha. Tego, który straszył kucharkę. Wiemy, że pochodził z wytwórni MGM. Ale Malcolm Foster to całkiem inna zjawia. Chyba się pan zgodzi?

Kiedy Jupiter mówił do Mata "pan", sytuacja zawsze zmieniała się na korzyść. Wilson westchnął. Pomimo wczesnej pory robiło się bardzo gorąco. Górą wiał wiatr od Pacyfiku, ale wśród drzew i gęstych krzewów temperatura wskazywała ponad sto stopni Fahrenheita. Sierżant pocił się obficie. Nie pomagało wachlowanie się kapeluszem.

- Wpuści nas pan za tę taśmę? - głos Crenshawa brzmiał przymilnie. Musiało go to sporo kosztować. Nade wszystko nie znosił, jak mawiał, "bezsensownego wdzięczenia się celem osiągnięcia osobistych korzyści".

- Federalni zabronili. Jest ich więcej niż mrówek w kopcach na wzgórzach. Szczególnie jeden daje popalić... - Mat splunął na ziemię.

- Kto?

- Nazywa się Ned Beatty. Pracuje w oddziale FBI w Los Angeles. Podobno pies na złodziei dzieł sztuki, biżuterii i tym podobnych. Ostatnio rozbił szajkę "Kulawego Kida".

- Kogo? - Bob otarł czoło. Też się pocił. - To brzmi jak z kowbojskiego filmu! Z czarno-białych początków Hollywoodu!

Mat smutnie zwiesił głowę. Czuł się tu zupełnie nie na miejscu. Jego królestwem był posterunek w Rocky Beach. I codzienna walka z przekraczającym dozwoloną prędkość właścicielem knajpy "Pod Zielonym Psem".

- "Kulawy Kid" był królem złodziei. Obrabowywał bogatych turystów mieszkających w drogich hotelach klasy "Bonaventura" z World Trade Center. Wspinał się niczym kot po szklanych wieżach.

- Kulawy facet?

Mat splunął znowu. Jego rozbiegane oczy wyraźnie czegoś szukały. Pewnie puszki zimnego piwa.

- To ksywa. Tak go nazywali w branży.

- I ten Ned Beatty wsadził kulawego do paki?

- Na piętnaście lat. Całą ferajnę. Teraz tu węższy.

Jupiter Jones przygryzł wargi. Nie lubił, gdy przy nim wychwalano jakiegoś detektywa. Choćby to był federalny glina.

- Wpuścisz nas?

Mat był dostatecznie wściekły na los, który mu przypadł w udziale, by to zrobić. Choćby na złość innym, mniej wystawionym na działanie kalifornijskich promieni słonecznych. Mat czuł się głęboko upokorzony rolą "stójkowego". On, władza w Rocky Beach, tu sterczał niczym słup soli. Na najdalszym krańcu posterunku. A na dodatek nikt go o niczym nie informował.

- Właźcie. Ale umiejętnie!

- To znaczy? - zdziwił się Pete.

- Postarajcie się być niewidzialni. Nie wiem, jak się to robi, ale nie widzę innego sposobu. I pamiętajcie: nigdy się nie spotkaliśmy.

- Jasne. Nigdy. - Jupiter Jones przełazi pod żółtą taśmą z czarnym napisem Police. - W ogóle pana nie znamy!

Mat zmrużył oczy.

- Chyba że coś zbroicie w Rocky Beach. Tam was zapuszczają bez wyjaśnienia! Adios!

Ukrywali się, biegnąc wzdłuż wysokiego, ładnie przystrzyżonego żywopłotu. Niedaleko willi musieli przywarować.

- Widzisz tego tam? - Bob wskazywał palcem szczupłego bruneta w czarnej bluzie z napisem F.B.I. na plecach. - To musi być sławny pogromca "Kulawego Kida".

- Dlaczego on? - zdziwił się Pete.

- Bo się nie rusza. Nie biega. Stoi i myśli.

Jupiter prychnął niczym wściekły kojot.

- Ja najlepiej myślę wtedy, gdy coś jem! - burknął.

- Masz rację - odezwał się niski, chrapliwie brzmiący głos. - Ja także. Chcesz ciasteczko orzechowe?

Cała trójka zamarła. Podnieśli w górę oczy i dopiero teraz dostrzegli twarz z kartofelkowatym nosem i parą bystrych, okrągłych niczym guziczki oczu. Twarz należała do niskiego jegomościa z brzuszkiem rozpierającym cienką szarą koszulkę. Stał w sąsiednim krzaku, połykając jedno ciastko po drugim. Na dodatek robił to z szybkością prawie ponaddźwiękową.

- O, do licha! - zmartwił się Jupe. - Ale nas pan przestraszył! Weszliśmy, bo jesteśmy Trzema Detektywami. Oto wizytówka... Bob, gdzie masz nasze...

Bob błyskawicznie wręczył nieznanemu kartonik.

- O! - ucieszył się tłuścioch, połykając kęs. - Dobra reklama!

- A pan? Kim pan...jest? - Pete miał dość zabawy w chowanego. Od kucania w krzakach bolały go plecy.

- Też detektyw. Ned Beatty. Do usług.

Chłopcy aż przysiedli z wrażenia. Jupiter Jones poczuł, jak mu pot spływa po grzbiecie.

- No... to...

- W porządku - mruknął grubas. - Nic się nie stało. Co o tym sądzicie?

Jupiter Jones wziął głęboki oddech.

- Duchy były już wcześniej. Spacyfikowaliśmy je. Wiemy, po co straszły. I kogo.

- Opowiedzcie - Ned Beatty skierował się ku kamiennej ławce stojącej w pobliżu rzeźby "Śpiącego fauna".

Przez najbliższy kwadrans, przekrzykując się wzajemnie, opowiedzieli federalnemu wszystko, co chciał z nich wyciągnąć. No, prawie wszystko.

- A teraz wystąpił sam Malcolm Foster - zakończył Jupe, patrząc z nadzieją na nie dojeżdżoną paczkę ciasteczek.

- Bardzo mi pomogliście - powiedział Ned wstając. - Powiem policjantom, żeby was wpuścili tam, gdzie chcecie. Tylko nie zapominajcie o śladach...

- Chodzi panu o to, byśmy nie zatarli odcisków palców? Stóp? - zdziwił się Pete. - Jeśli są jeszcze jakieś niezidentyfikowane, to znaczy, że FBI bierze pieniądze podatników za darmo!

Ned Betty parsknął śmiechem.

- Masz rację, Pete. Ale sam wiesz, że wczoraj było tu przyjęcie na trzy setki ludzi! I nie ma mowy, byśmy bawili się zbieraniem odcisków palców.

- Nawet w galerii?

Ned sięgnął po ostatnie ciasteczko. Zawahał się.

- Chcesz? - wyciągnął dłoń w kierunku Jupitera.

- Tak. Dziękuję. Chętnie. - Gdy poczuł w ustach orzechowy smak, jego szare komórki zaczęły pracować.

- Złodziej wziął najdroższy obraz. Ale którędy wszedł? Przecież tu jest zamontowany najbardziej wymyślny system alarmowy! Nic nie brzęczało? Nie wyło?

Beatty obciągnął bawełnianą koszulkę. I tak brzuch sterczał niczym solidny pakunek.

- W tym sęk. System alarmowy nie został ani wyłączony, ani uszkodzony. Wszystko działa, jak trzeba. Nikt nie wyszedł z galerii. Zamki są w porządku.

Bob czuł dziwną niechęć do grubasa. Może nie tak wyobrażał sobie najlepszego z agentów?

- Chce pan powiedzieć, że nikt z galerii nie wyszedł? To może znaczyć tylko jedno: obraz wyparował!

- Właśnie - zgodził się Beatty. - Wyparował. I to mnie martwi.

- Wolałby pan, żeby wyłamano kraty i zamki?

- Oczywiście. Wtedy przynajmniej wiedziałbym, jak to zrobił. Ten duch mnie z jednej strony fascynuje, z drugiej denerwuje. Jestem pragmatykiem. Gliną. Sytuacje niematerialne tylko mnie deprymują.

- A mnie on się podoba! - Jupiter Jones wstał. - Ten Malcolm Foster. Facet ma charakter. I klasę. Pozwoli nam pan obejrzeć galerię?

- Chodźcie! - rzucił puste opakowanie w krzaki. Bob schylił się i podniósł je. Nie znosił nieporządku. Jak jego ojciec. Kosz na śmieci znajdował się w zasięgu wzroku.

W galerii - olbrzymim, prawie pustym pomieszczeniu - roilo się od policjantów. Każdy coś robił, stojąc, kucając lub siedząc na podłodze. Mierzyli taśmą odległości, warczeli na siebie nawzajem, robiąc tajemnicze, dla nich tylko zrozumiałe znaki kredą. Wejścia Neda nawet nie zauważyli. Policja z Malibu omijała tę z Santa Monica. A wszyscy federalnych. W końcu ci ostatni odgwizdali powrót. Trzy samochody z rejestracją Los Angeles z piskiem opon ruszyły w dół.

- Wynieśli się! - warknął Ned, wystawiając do słońca okrągłą twarz. Chłonał promienie niczym gąbka wodę. - Nareszcie! Nie znoszę hałasu. I swoich ludzi.

Pomału wynosili się i ci z Santa Monica. Mieli śmiertelnie poważne twarze i panikę w oczach. Też nic z tego nie rozumieli. Dzielni szeryfi przywykli do prostoty.

Jupiter Jones skubał wargę.

- To tutaj? - wskazał palcem na puste miejsce na ścianie. - Duży był!

- Spory. W złoconych ramach. Ciężkie płótno. - Ned Beatty błędził wzrokiem po szkockim wrzosowisku. Obraz wiszący obok miał w sobie jakąś dziwną nostalgię. - Myślę, że nie koniec na tym.

Pete z uwagą przyglądał się wiszącym płótnom. Najbardziej podobały mu się pejzaże.

- Myśli pan, że wróci? Malcolm Foster?

Ned Beatty kucnął, badając brzeg złoconej ramy. Wrzosowiska Szkocji nieodparcie przyciągały jego wzrok.

- Taaa... nie sądzę, żeby się zadowolił "Świątą Rodziną". Mam zamiar tu na niego poczekać.

Jupiter Jones odwrócił się z błyskiem w oku.

- My też.

Bob Andrews miał niepewną minę.

- Ja... nie mogę. Ojciec kazał mi wrócić na obiad.

Pete Crenshaw porzucił kobietę o czworgu oczach i trzech piersiach. Pablo Picasso namalował ich mnóstwo. A ta tutaj przypominała kwadraturę koła.

- Przykro mi, Jupe. Na mnie też nie możesz liczyć. Wieczorem jadę z ojcem do MGM. Będziemy konstruować pojazd kosmiczny. Do jednego z tych filmów o gwiazdnych wojnach. Tato uparł się, by mnie wciągnąć do zawodu. Twierdzi, że już czas.

- I ma rację, Pete. - Głos Neda brzmiała łagodnie. - Jeśli o ciebie chodzi, Jupiterze, możesz mi dotrzymać towarzystwa. Pod warunkiem, że wszystko zatrzymasz w najgłębszej tajemnicy.

- Pozostali detektywi muszą wiedzieć, co się dzieje.

- Oni tak. Ale nikt więcej. Zgoda?

- W porządku, panie Beatty. Skoro sobie pan tego życzy.

O dziesiątej czterdzieści pięć w rzymskiej willi nie było ani jednego policjanta. Wynieśli się do kwatery założonej w biurze burmistrza Santa Monica. Wyeksponowano do domów także liczny personel pomocniczy, w tym obie sprzątaczkę, dość zresztą umęczone nie tyle pracą fizyczną, co kontaktem z wszelakiego rodzaju duchami. Zarówno Rosalyn, jak i Petra chętnie opuszczały "diabelską willę". Został jedynie John Brenton - stróż z szybkostrzelnym karabinem oraz - ku zdziwieniu Neda Beatty - miss Pamela Crowford. Trzeba przyznać, że agent federalny nie był z tego powodu szczęśliwy. Ale nie mógł zabronić właścicielce galerii przebywania z obrazami wartymi miliony.

Jupiter Jones podjechał swoim zgrzytającym ffordem na płatny parking. Pusty o tej porze. Stała tam jedynie znana mu furgonetka z napędem na obie osie, należąca do stróża. Przechodząc obok samochodu, dotknął przypadkowo maski. Była ciepła. Znaczyło to tylko tyle, że samochód przejechał niedawno ileś tam kilometrów. Nic poza tym. Na jego prawie nowych oponach widać było ślad czerwonej gliny. Jupe zdziwił się trochę, bo niczego takiego nigdy nie widział w najbliższej okolicy. Z ciekawości przysunął nos do szyby. Na tylnym siedzeniu dostrzegł damski kapelusz z cienkiej, usztywnionej organdy, ozdobiony pękiem kalifornijskich maków. Oczywiście sztucznych.

- Brenton ma żonę? - wymruczał. - A niby dlaczego nie? - Ale postanowił to sprawdzić. Na wszelki wypadek.

Willi stała cicha i wydawała się pusta. Nie licząc silnych reflektorów wylaniających z cienia rzeźby w brązie i marmurze. Stary satyr z gęstą brodą i kozimi różkami wyglądał dość naturalistycznie. Mijając go, Jupe poczuł za uszami gęsią skórę. I dopiero to zdenerwowało go nie na żarty.

- Przecież się ciebie nie boję! - powiedział półgłosem, nie będąc jednak całkowicie pewnym.

- Całkiem słusznie! - odparł Ned Beatty, wychodząc z cienia.

- Zawsze pan straszy po kątach? - zdenerwował się Jupe.

- Zawsze. Taka moja uroda. Chodź, beze mnie nie dostaniesz się do środka. Piękna kobieta czeka na nas z drinkiem. Co pijesz?

- Coca-colę. Wuj Tytus uważa, że alkohol jest zbyt drogi, by się do niego przyzwyczajać.

Weszli przez jedyne otwarte szklane drzwi. Wydawały się zwyczajne. Ale szkło było

kuloodporne. W małym saloniku, tuż obok galerii, stała kanapa w stylu "Madame Recamier", stolik i kilka składanych krzeseł. Siedząca kobieta miała suknię w kolorze słonecznika, ogromny dekolt i nogi do samej szyi. Na stopach sandałów o obcasach niczym kolumnienki z portalu. Jupe nie mógł pojąć, jak w takim obuwiu można zrobić choć krok.

- Miss Pamela Crowford, zechce pani poznać Jupitera?

- Jupiter Jones. Jeden z Trzech Detektywów - wystękał, czując, że się czerwieni.

Dłoń, którą mu podała, ważyła chyba z tonę. Takie miał wrażenie, wpatrując się w pięć ogromnych diamentów wielkości kostek cukru. "Warte parę domów z ogródkami w Rocky Beach"- pomyślał.

- Sądzicie, że znów przyjdzie?

- Malcolm Foster? - spytał Jupiter przez wyschnięte wargi.

- Przyjdzie! - skinął głową Ned. - Jeśli nie, zjem własny kapelusz!

Miss Pamela uśmiechnęła się. I było tak, jakby z nieba spłynął anioł spokoju.

- Coś ukradnie?

- Mam nadzieję! - szepnął Jupiter. - Naprawdę nam nadzieję!

Ned Beatty rzucił się na porcelanową czarkę pełną orzeszków. Brał je, pełną garścią wysypując wprost do ust. A potem chrupał z przymrużonymi oczyma. Wyglądał na człowieka, który nie ma żadnych zmartwień. Oprócz jednego: napełnienia brzucha. Czymkolwiek. Gdyby nie było orzeszków, zapewne żywiłby się korzonkami.

Galerię oświetlono tak, jakby spodziewano się tłumów zwiedzających. Palily się wszystkie kryształowe żyrandole i kilka lamp-rzeźb, dziś przerobionych na elektryczne. Przeważnie miały kształt pięknych rzymianek trzymających płonące pochodnie. W tak potężnym blasku duch nie miał, na dobrą sprawę, żadnych szans.

A jednak.

Kiedy zegar wybił dwunastą, coś się wydarzyło. Jakieś dziwne dodatkowe światło spłynęło z sufitu, przemknęło w głąb galerii i zmaterializowało się tuż obok płótna Matisse'a. Malcolm Foster stał w całej swojej szkockiej okazałości. W berecie z pomponikiem, kilcie i...

Pamela Crowford pisnęła niczym mysz, zakrywając dłońmi oczy. Ned Beatty, wytrzeszczywszy wzrok, przestał żuć orzeszki. Na jego twarzy widać było totalne zaskoczenie. Jupiter Jones czuł suchość w gardle i gorący pot spływający z karku aż na plecy. Stali niczym sparaliżowani. Bez ruchu tkwił także duch. Jego prawa dłoń wskazywała płótno. Głos, który nagle spłynął gdzieś spod kasetonowego sufitu, miał wyraźne, choć nieco głuche brzmienie:

- Zabieram tylko to, co moje. Co mi ukradziono podstępem. Niech szcześnie rodzina Gettych! Niech umierają z nędzy. Jak ja. Malcolm Foster!

Pamela drżała na całym ciele. Ned zaczął żuć. Wyglądało to tak, jakby za wszelką cenę starał się ukryć szczykanie zębów. Jupiter naprzód zamknął oczy. Ze strachu. Ale po sekundzie znów je otworzył. Jedno, co mu się rzuciło w oczy, to statyczna postawa ducha. Nie ruszył głową, nie skrzywił ust ani nie postąpił kroku. Nawet centymetra. Był przy tym tak realistyczny, jak żywy człowiek. I zniknął tak nagle, jak się pojawił.

Pamela rozplakała się w głos. Zalana łzami uciekła do saloniku. Za nią, ociągając się nieco, ruszył Ned. Jupiter Jones, zanim zamknął drzwi, jeszcze się obejrzał. Obrazy wisiały na miejscu. Odetchnął z ulgą. Na zewnątrz nagle rozległy się strzały. Ned Beatty posadził szlochającą kobietę na sofie, sam zaś runął w kierunku szklanych drzwi. Zanim wyłączył alarm i otworzył zamki, musiały minąć dwie, trzy minuty. Nie dłużej.

- Kto strzelał? - wrzasnął w głąb ogrodu.

Pojawił się szerokoskrzydły kapelusz i rozkołysanym kowbojskim krokiem nadszedł John Brenton.

- Ja strzelałem. Ktoś był w krzakach.

Jupiter zatrzymał się o krok od detektywa. Mimo iż ciarki przechodziły mu po grzbiecie, postanowił dotrzymać Nedowi kroku.

Trzej mężczyźni, klucząc pomiędzy ścianami żywopłotu, dopadli wskazanej kępy drzew. Ostry promień latarki odnalazł połamane gałązki i strzęp srebrzystego materiału.

- To z Metro-Goldwyn-Mayer - powiedział Jupe. Aż się zdziwił, że jego głos brzmi tak naturalnie. - Taki sam znaleźliśmy w krzakach koło knajpy "Pod Zielonym Psem". Kiedy straszyli kucharkę.

- Tę Conors? - spytał Ned.

- Tak.

Nagle w galerii zgasło światło. Willa wyglądała jak pogrążona w mroku zaklęta twierdza. Dał się słyszeć ostry, kobiecy krzyk. I wszystko ucichło.

Mężczyźni wpadli do środka. W całkowitych ciemnościach potykali się o rzeźby. Rzymianka z węzem przy piersi, trzymająca zgasłą pochodnię, pochyliła się niebezpiecznie i runęła tuż pod nogi Jupitera. Przeskakując przeszkodę, zdał sobie sprawę, może podświadomie, że słyszy od strony galerii suchy trzask. Niepodobny do strzału. Do niczego niepodobny. Zastanowił się. Taki dziwny odgłos wydawały czasem meble wrzucane przez wuja Tytusa do półciężarówki. Trzask drewna?

Latarka w dłoni Neda zatoczyła szeroki krąg. Wyłoniła kanapę i leżącą na niej kobietę. Pamela Crowford albo nie żyła, albo zemdląła. Agent przyłożył palce do tętnicy na jej szyi.

- W porządku. Tylko straciła przytomność. Gdzie pan jest, Brenton?

Stróż wyłonił się z mroku. Niósł srebrny, siedmioramienny świecznik. Małe płomyczki pełgały, rozświetlając przestrzeń w promieniu kilku metrów.

- Chyba wysiadły bezpieczniki.

- Żartuje pan? Ten dom jest nasączony elektroniką jak świąteczne ciasto rumem! - Ned wkroczył do galerii. Promień latarki przesuwiał się po ścianach. Nagle drgnął i znieruchomiał. - Tu brakuje obrazu!

Jupiter Jones, sapiąc, wdarł się za nim. Nie da się ukryć, że z duszą na ramieniu. Duch Malcolma, strzały w ogrodzie, zemdlona Pamela i ten pusty kwadrat zrobiły na nim piorunujące wrażenie. Jeszcze dziesięć minut temu chciał stawić czoło przygodzie. Każdej przygodzie. Teraz nie był już tego taki pewien.

- Co ukradł? - wyjąkał.

- Nie wiem. Nie pamiętam, co tu wisiało - wysyczał Ned. Był wściekły. Na jego oczach obrabowano galerię.

- To... Veronese. Przedstawiciel szkoły weneckiej. Malował freski w Pałacu Dożów. Tu wisiała "Uczta u Szymona" - głos Pameli dobiegał z cienia jak z innego świata. - Boże, on mnie zrujnuje! Taka strata!

Jupiter spojrział na nią, gdy weszła w krąg świec. Słonecznikowa suknia płynęła w powietrzu. Twarz Pameli przypominała gipsową maskę: martwa i blada, bez kropli krwi.

- Proszę nie wstawać, miss Crowford! - wykrzyknął Brenton podbiegając. Oświetlona blaskiem świec była bardzo piękna. I bardzo nieszczęśliwa. - Zemdląła pani!

- Ale już doszłam do siebie. Dlaczego tak ciemno? Brenton, zrób coś...

- Już, pani Pamelu - dozorca zniknął w bocznych drzwiach.

Jupiter Jones, mimo szoku, jaki przeżył, myślał bardzo intensywnie.

- Czy pan obejrzał te drzwi? - wysapał, podchodząc do Neda badającego puste miejsce na ścianie.

- A jak myślisz, u licha? Poznałem cały ten cholerny labirynt.

- Sprawdziłbym, co robi Brenton - odważył się powiedzieć Jupe.

Ned Beatty wydłubywał spomiędzy zębów łuski po orzeszkach.

- Taaa - odburknął, odwracając się na pięcie. - Wszystko było pozamykane. Tam, dokąd poszedł

stróż, jest tylko małe pomieszczenie. Liczniki, kable, cała ta aparatura elektroniczna od alarmu. Nie ma wyjścia na zewnątrz. Ani drzwi, ani okna.

Zabłyło światło. Przewrócona rzymianka dalej tuliła węża. Jej pochodnia rozprysła się na milion szklanych okruchów. W świetle wszystko wyglądało inaczej. Rzec można - normalnie. Ze ścian nadal spoglądali ludzie renesansu i baroku, czerwieniły się jabłka i kwitły bukiety w wazonach. Nic się nie zmieniło. Poza dwoma pustymi miejscami na ścianach. Jeśli coś pozostało, to zbędne już, cienkie metalowe linki, na których wisały obrazy.

- Chyba jednak spięcie - warknął John, poprawiając stetsona. Nie zdjął go ani na chwilę. - Nie wiem, jak się to stało. Alarm jest włączony. Ma osobny obwód. Nikt z zewnątrz nie mógł się tu dostać.

- Poza panem - burknął Beatty, mrugając powiekami.

- John jest poza wszelkimi podejrzeniami! - krzyknęła Pamela, chodząc tam i z powrotem. Jej obcasy wystukiwały rytm. - Jest na służbie w naszej rodzinie od pięćdziesięciu lat! Miał milion okazji, by skraść obrazy. Nigdy niczego nie ruszył. Wypraszam sobie takie uwagi!

Ned Beatty flegmatycznie podciągnął opadające spodnie. Tyrada miss Crowford nie zrobiła na nim żadnego wrażenia.

- Jestem agentem Federalnego Biura Śledczego, madame. I moim obowiązkiem jest podejrzewać wszystkich.

- Także mnie? - pisnęła obrażonym tonem.

- Także panią. I nic na to nie poradzę, jedyną osobą, za którą ręczę, jestem ja sam. Drugą - ten chłopiec.

Jupiter Jones poczuł, jak mu krew napływa do policzków. Nigdy dotąd nie czuł się tak uhonorowany.

- Bardzo panu dziękuję - wybąkał.

Pamela Crowford miotła się od ściany do ściany. Na jej policzkach pojawiły się łzy.

- Zaraz dam znać pańskim szefom! - wrzasnęła. - Nie ma pan prawa traktować tak znanej rodziny!

- Nikt nie stoi ponad prawem - łagodził Ned - w każdym razie w demokratycznym kraju, jakim jest Ameryka. Do moich obowiązków należy wykrycie sprawcy kradzieży. Byłbym szczerze rad, gdyby zachcieli państwo opuścić galerię. Zaraz zawiadomię swoją ekipę techniczną. Zjawią się tu za... dziesięć minut. Ty, Jupiterze, też wracaj do domu. Byłeś świadkiem tego, co się zdarzyło. Jedź ostrożnie i myśl. Nie ma takiego przestępcy, który nie popełniłby błędu. Jak nie dziś, to jutro. Miej, chłopcze, oczy otwarte i uszy postawione na sztorc. To moja rada. A teraz chcę tu zostać sam.

# ROZDZIAŁ 9

## GDZIE SIĘ PODZIAŁ OBRAZ?

- I co było dalej? - pytał rozgorączkowany Bob, gdy następnego dnia spotkali się we trójkę w Kwaterze Głównej.

- O pierwszej w nocy wyjechałem do domu. Minęły mnie tylko dwa samochody policyjne. A ciotka Matylda zagroziła, że sprzeda forda, jeśli nim będę jeździł po ciemku.

Pete Crenshaw podciągnął skarpety. Przed południem miał trening w klubie koszykarzy. Rocky Beach startowało do półfinału z drużyną z Riverside.

- Zazdroszczę ci, Jupe. Nigdy nie widziałem prawdziwego, żywego ducha. Bo te baniaste głowy się nie liczą. Dziecinada dla kucharek!

Jupiter Jones skubał wargę.

- Był prawdziwy. Tyle że stał bez ruchu. Ani mrugnął okiem. A głos dochodził jakby z sufitu.

Bob mierzwił dawno nie strzyżoną czuprynę. Sam nie wiedział, co o tym sądzić. Uważał się za racjonalistę. Nie wierzył w ciemne moce, czarne koty, diabły i anioły. Także w prawdziwego ducha.

- Musi być jakieś wyjaśnienie - wybąkał. - Racjonalne wyjaśnienie.

- Oczywiście - Jupiter czuł wzbierający głód. Ciotka Matylda, zła jak chrzan z powodu jego nocnej eskapady, nie zrobiła pełnego obiadu. A bez deseru nie ma życia. - Wiem, że ten Veronese nie wyparował. Ale nie wiem, gdzie się podział. Naprawdę wszystko było pozamykane na głucho. W tym małym pomieszczeniu obok galerii obmacaliśmy ściany i podłogę. Nie ma zmurszałych desek, ukrytych schowków, żadnych zapadni. To nie studio filmowe, tylko dobrze strzeżona willa, warta miliardy dolarów. Po obrazach zostały śliczne, równiuteńkie, puste kwadraty. Na ścianach, naturalnie.

- Dlaczego mówisz: kwadraty? - zdziwił się Bob. - Obrazy, które tam wiszą, mają przeróżne wymiary. Są także duże prostokąty. I małe. Pamiętam.

Jupiter Jones zmarszczył brwi.

- Naprawdę nie wiem, dlaczego tak powiedziałem. W oczach mam te dwie pustki. Głowę dam, że miały jednakowe wymiary. Obrazy musiały być kwadratowe.

- Trzeba wszystko sprawdzić jeszcze raz - powiedział Pete. - Już nigdy nie zostawię cię samego!

- Ja także - dołączył się Bob. - Zrobiliśmy błąd. Ale kto się mógł spodziewać?

- Ja - odparł Jupe. - Ja się spodziewałem ducha. I wiem, że na tym nie koniec.

Bob skinął głową.

- Tato napisał artykuł do Sun-Press. Policja musiała zwołać konferencję prasową. Szeryf Grogan z Los Angeles wił się niczym piskorz. Malcolm Foster w dwa dni wzbogacił się o czterdzieści milionów dolarów. Na czysto! Bez podatku!

- Pete, gdzie w okolicy Malibu jest czerwona glina? - Jupe był myślami zupełnie gdzie indziej. Jechali, zgrzytając skrzynią biegów. Pete, rozpostarty na tylnym siedzeniu, spał albo udawał, że śpi.

- Co? Glinka? Nie rozumiem...

Jupiter Jones wrzucił trzeci bieg. Szybciej jechać się nie dało. Cała okolica, wszyscy mieszkańcy z babciami i psami pchali się, by zobaczyć zaczarowaną willę. Służby drogowe nie dawały sobie rady. Policyjne gwizdki zagłuszane były przez chmary wrzeszczących dzieci i klaksony napierających aut. Nikt sobie nic nie robił z mundurowych. Nie wspominając o tajniakach. Cała prasa, ta poważna i ta brukowa, od San Francisco aż po San Diego, rozpisywała się o szkockim duchu, i znikających obrazach. Na oczach agentów FBI.

- Zbudź się! - powiedział Bob. - Jupe o coś cię pytał!

Crenshaw starał się przełożyć prawą nogę nad lewą. Miał z tym sporo kłopotu. Ostatnimi czasy rósł w zastraszającym tempie, jeśli tak dalej pójdzie, zapisze się do Organizacji Ludzi Nadnaturalnego Wzrostu. Jest taka. Ma swoją siedzibę w Bunker Hill Towers przy First Street na trzydziestej kondygnacji.

- Nie zrozumiałem pytania. Proszę, powtórz.

Jupe wciąż był myślami daleko.

- To nie żaden quiz telewizyjny. Obejrzałem sobie przypadkiem wóz terenowy kowboja.

- Brentona? I co z tego?

- Koła były usmarowane czerwoną gliną. A silnik ciepły. Musiał gdzieś jeździć, choć nie przyznał się do tego. Nie powinien był się ruszać z willi. Pytam raz jeszcze: gdzie w okolicy występuje taka glina?

Pete wzruszył ramionami.

- Rozumiem. Ale nie wiem. Czekaj... chwileczkę. Mam! Jechałeś kiedyś przez Topanga Canyon?

- Nie pamiętam. Bo co?

- Przecinasz nadbrzeżny grzbiet gór Santa Monica. Nadążasz?

Jupiter Jones przyhamował w ostatniej chwili. Szara limuzyna przemknęła obok, zahaczając o pobocze. Prysnał żwir.

- Do diabła! Jeżdżą jak barany! Mówiłeś coś o górach?

Bob skinął głową.

- Ja wiem, o co mu chodzi. Po północnej stronie gór jest kotlina San Fernando.

- Właśnie. Bywałem tam z tatą. Jeździliśmy do Los Encinos Historie Park.

- I co? - denerwował się Jupe. - Nie pytałem o wycieczkę rekreacyjną, tylko o glinę. Czerwoną.

- Zmierzam do tego. - Głos Pete'a był o kilka tonów wyższy. Zawsze tak śpiewał, gdy był zły. Lub obrażony.

- W porządku. Przepraszam. Okropnie mnie denerwuje to stado baranów jadące zobaczyć ducha. Jak na piknik. Mów dalej.

Crenshaw wziął oddech.

- Przy zbiorniku retencyjnym na rzece Los Angeles. Jest taka glina. Pamiętam. Mieliśmy całe koła brudne.

Bob kręcił się na przednim siedzeniu.

- Co mógł robić Brenton tak daleko od Malibu?

- Właśnie. Na tylnym siedzeniu jego auta leżał damski kapelusz. Z cieniutkiego, przezroczystego materiału. Z dużym rondem i bukietem sztucznych maków. Kapelusz wyglądał na bardzo drogi.

- Może ma jakąś przyjaciółkę, którą odwiedza po kryjomu?

Pete skrzywił wargi.

- Zostawiłaby kapelusz?

- Teoretycznie to możliwe - Jupe skrzywił na parking. - My do agenta Neda Beatty'ego - powiedział łagodnie.

Twarz, która zajrzała przez szybę, miała ogromny nos i szczecinę. Pod tym nosem. Należała do posterunkowego w Malibu.

- Nic o tym nie wiem.

Bob wypuścił powietrze z płuc.

- To nie najlepiej świadczy o służbach informacyjnych. Ma pan trzy minuty, by to sprawdzić.

Chyba że wasze telefony jakimś cudem dziś nie działają.

Pete chciał zarechotać, ale w porę się powstrzymał. Policja niskiego szczebla nigdzie na świecie nie szczyci się poczuciem humoru.

Ogromny nos sapał. Czerwone ucho wysłuchiwało komunikatu.

- Trzej Detektywi? - wydał pisk niczym mysz schwytana w pułapkę.

- We własnej osobie.

Policjant nie miał nic więcej do dodania, spisał tylko numer rejestracyjny pojazdu.

Wjazd na parking został odkorkowany. Stały tam już wozy techników, policji stanowej, miejskiej i biały kabriolet z teksaską rejestracją. Także, nieco dalej, terenówka marki toyota.

- Obejrzymy ją?

- Obejrzymy.

Ale, na dobrą sprawę, nie było co oglądać. Wóz był bardzo porządnie umyty. Także opony. A w środku nie zobaczyli kapelusza. Jedyne pokrowiec na wędki.

- Nic? - spytał Bob.

- Nic - odparł Pete przykucając. - Wiem, że Jupe nie wymyślił czerwonej glinki. Ale kowboj ją zmył. Porządnicki!

Przez parking szła szczupła kobieta w niebieskiej sukni. Rude, długie włosy rozwiewał wiatr.

- Nie gap się! - warknął Jupiter, dając dubla w plecy Crenshawa. - To Pamela Crowford. Opiekunka galerii, tego domu ze złotymi sztachetami i właścicielka akcji Getty Oil Company.

- I kapelusza! - wyszeptał nabożnie Bob.

Istotnie. To, co młoda kobieta trzymała w ręku, było białym organdyńowym kapeluszem. Pęk maków odbijał od bieli niczym purpurowe maźnięcie farby. Jak na jednym z obrazów w galerii.

Jupiter Jones poczuł, jak mu krew napływa do twarzy.

- Ludzie, to jej kapelusz!

Pete odprowadzał wzrokiem miliony czy też miliardy dolarów wsiadające z gracją do białego kabrioletu. Silnik cichutko warknął. Przejeżdżając obok, Pamela Crowford uniosła w górę dłoń. W geście powitania.

- Poznała cię! - wysapał Bob. - Ale klasa!

Pete Crenshaw skrzywił usta.

- To nie ona robi na tobie wrażenie. Tylko jej czeka!

Ned Beatty siedział przy fontannie Trzech Trytonów. Miał na głowie słomkowy kapelusz ocieniający spoconą twarz. Brzuch sterczał ze spodni niczym dojrzała dynia. Prawa dłoń zanurzona w paczce czipsów szeleściła celofanem. Jadł łapczywie, jakby ktoś za płotem czyhał na jego ukochany przysmak.

Jupiter oblizwał wargi. Jedzenie to było coś, co najbardziej w obecnej chwili łączyło obu detektywów.

- Jesteśmy.

Ned Beatty rzucił bystre spojrzenie.

- Macie jakąś teorię? W sprawie ducha?

Pete przestępował z nogi na nogę.

- Jest sporo możliwości. W filmie robi się nie takie rzeczy. Triki, pan rozumie?

Agent zaszeleścił celofanem. Ostatni pachnący cebulą czips zniknął w szeroko otwartych ustach.

- Tak. Ale czy mógłbyś wyjaśnić mi, jak się to robi? W studiu MCM tłumaczyli, że potrzebna jest ogromna aparatura. Do tych trików. I sztab ludzi.

- To prawda - potwierdził Pete. - Z moim ojcem nad jedną tylko Godzillą pracowało sześćdziesięciu chłopów. Każdy ruch bestii jest zdalnie sterowany.

Bob przykucnął, obserwując paszczę trytona. Z jej wnętrza tryskała woda, rozbijając się w słońcu na miliardy kropelek.

- Z duchem to co innego - wyszeptał. - W internecie też da się od biedy straszyć. Są ogromne możliwości. Ale w zamkniętej galerii? No... nie wiem.

- Ja też nie wiem - zmartwił się Jupiter. - Gdybym tego nie widział na własne oczy... to znaczy, dopóki nie zgasło światło.

Pete zapatrzył się w słomkowy kapelusz.

- Ktoś je musiał wyłączyć. Nie wierzę w śpięcie.

- Ale kto? - Ned Beatty zmiął puste opakowanie. Przez moment wydawało się, że je wrzuci do fontanny. Ale powstrzymał się w ostatniej chwili. - Pamela była z nami. John Brenton na zewnątrz. Oddał kilka strzałów, jak sam mówił, do uciekającej postaci. Odnaleźliśmy łuski. Pociski typu

brneke. Kaliber dwanaście milimetrów. Dobra broń strzelecka.

- Wiem - odparł Jupe. - Mossberg. Kowboj nam o niej opowiadał. Wygląda to na zagadkę bez rozwiązania.

- Nie ma takich - burknął Ned. - Wszystko da się jakoś wytłumaczyć. Tylko trzeba na to wpaść. On jeszcze wróci.

- Kto? Malcolm Foster? - Jupe poczuł dreszcz.

- Tak. Jego duch.

Chłopcy z ciekawością oglądali galerię. Otwarcie jej i wyłączenie alarmu wymagało koordynacji i zgody paru osób. Z wnętrza zniknęły już rzeźby-lampy. Przewieziono je do nowego gmachu. Do eskorty rzymianek z pochodniami zatrudniono sześciu policjantów uzbrojonych po zęby. Obrazów nie ruszono. Cezanne, Picasso, Candinsky, Renoir i Delacroix oraz trzydzieści innych wisiało podłączonych do systemu NEC. Japońska firma gwarantowała skuteczność. Wydawało się, że nikt i nic nie może im zagrozić, jednakże, jak twierdził Ned Beatty, twarze z niektórych portretów promieniowały strachem.

- Ten facet wyraźnie się boi - powiedział, oblizując usta. - Spójrzcie tylko na jego minę. Trwoga w oczach.

- Kim jest? A raczej kim był?

- Modelem. A przedstawia świętego Bartłomieja, Malował go Rembrandt. Jeden z największych twórców w dziejach sztuki. Mieszkał i pracował w Amsterdamie.

Pete, ku zdumieniu pozostałych, usiadł na środku podłogi. Spojrzał ku sufitowi, a potem wygodnie ułożył się na plecach.

- Co robisz? - wykrzyknął Bob. - Źle się czujesz?

Crenshaw włożył do ust świeżą gumę.

- Nie. Czuję się doskonale. Ale tylko z tej pozycji można najlepiej obserwować sufit. Gdy się wchodzi do galerii, nie widać go. No... chciałem powiedzieć, że nie zwraca się na niego najmniejszej uwagi.

Bob poszedł natychmiast za przykładem przyjaciela.

- Fakt. Teraz dopiero wyraźnie widzę kasetony. Tworzą coś w rodzaju namalowanego nieba.

Przez chwilę cała czwórka leżała na marmurowej posadzce, komentując widoki. Tylko Ned jęczał, że go boli krzyż.

- Kasetony jak w średniowiecznych zamkach, no nie? Wcale nie pasują do willi z czasów

Herkulanum. O ile się na tym znam. - Beatty ułożył ręce wzdłuż ciała. - To rzeczywiście nie ma sensu. Trzeba sprawdzić.

- Ten z boku, w prawym rzędzie, wygląda, jakby go namalował amator - odezwał się Bob. - Spójrzcie tylko na anioła. Ma jedno skrzydło.

- Niepełnosprawny! - roześmiał się Pete. - Ale pyzaty. Inne też. Dmuchają w trąby albo grają na czymś...

- Na cytrze - wytłumaczył Bob. - To się nazywa cytra. W każdym z tych kwadratów jest anioł. Albo święty. Kto ich malował? I kiedy?

- Nie mam pojęcia - Ned chciał usiąść, ale nie wiedział, jak to zrobić. Uniesienie się z pozycji horyzontalnej wcale nie było takie łatwe. Bowiem środek ciężkości znajdował się w brzuchu.

- Wszyscy umarli! - rozległ się nagle przeraźliwy wrzask.

Chłopcy poderwali się w przerażeniu. W drzwiach stał John Brenton w nieodłącznym kapeluszu, z bronią wycelowaną w niewidzialnego wroga.

- Stój! Nie strzelaj! - ryknął Ned Beatty siadając. - Co ci do głowy przyszło, człowieku?

Brenton wyglądał, jakby przed chwilą ujrzał zjawę.

- To... wy żyjecie?

Pete odważnie ruszył w jego stronę. Odsunął lufę na bok, na bezpieczną odległość.

- Panie Brenton - wyjąkał, bo dopiero teraz przestraszył się własnej odwagi. - Leżeliśmy, bo tylko z tej pozycji można przyrzeć się sufitowemu malarstwu.

Zdezorientowany kowboj oddychał głęboko.

- Ale mnie wystraszyliście! Nic, nic! - odkrzyknął widząc, że zewsząd biegną policjanci. - Fałszywy alarm!

Ned Beatty wstał z pomocą Jupitera. Koszula wylazła mu ze spodni, odsłaniając blady brzuch. Wpychał ją ruchem dość nerwowym. Może doznał uczucia, że stracił całą powagę agenta FBI?

- Wie pan, jak się może skończyć taki fałszywy alarm? - powiedział przez zęby, bodąc palcem pierś kowboja. - Następnym razem, gdy stanie się naprawdę coś poważnego, nikt nie przybiegnie panu na pomoc. Ot, co.

Dozorca był zły. Ale nie ośmielił się odezwać.

Jupiter Jones postanowił załagodzić powstałe napięcie.

- Czy mógłby nam pan powiedzieć, bo zna pan to muzeum najlepiej, kto i kiedy zainstalował na suficie kasetony? Są z drewna, prawda?

John zmarszczył brwi.

- No... zawsze tu były. Od kiedy dziadek panienki Pameli przywiózł fachowców z Europy.

- To znaczy?

- Dokładnie nie powiem. Pracowałem wtedy na polach naftowych w Teksasie.

- A mniej więcej? - Jupiter był nieustępliwy. Sam nie wiedział dlaczego. Ciotka Matylda mawiała w takich razach: przecucie.

- Panienska Pamela miała ze dwa, trzy lata.

- A dziś ile ma? - Pete wysunął usta na kształt rybiego pyszczka.

John Brenton miał zakłopotaną minę.

- No... panienska nie bardzo...

- Nie przyznaje się do wieku? - roześmiał się Ned. - Jak każda atrakcyjna kobieta. Więc jak będzie, panie Brenton? Mamy grzebać w urzędach metrykalnych?

- Trzydzieści jeden - wysapał wierny sługa. - Ale nigdy wam tego nie powiedziałem! Nigdy! Panienska by mnie zabiła - urwał wyraźnie zmieszany.

- Ma rację, że się nie przyznaje - skwitował Pete. - Nie dałbym jej więcej niż dwadzieścia... no... dwa. Vanessa mówi...

- Stop! - Jupiter potrząsnął Crenshawem niczym drzewem pomarańczowym. - Nikogo to nie interesuje, Pete!

- Kim jest mąż miss Patrycji? - zainteresował się nagle Beatty, wyciągając z kieszeni plik zapisanych, zmiętych karteluszków.

John Brenton skrzywił usta. W jego oczach błysnęło uczucie zwane potocznie głęboką niechęcią. Nie panował nad głosem. Może to z powodu zaskoczenia zmianą tematu.

- Crawford? Pochodzi ze Wschodniego Wybrzeża. Poznali się z panienką, gdy objął posadę dyrektora J. Paul Getty Museum. Ojciec pani Pameli wcale nie był zachwycony tym małżeństwem. Wątpił w miłość chłopaka. No... sami rozumiecie. On goły i wesoły. Ona miliarderka. Jakoś niedługo potem sama zajęła się muzealną fundacją. Crawford należy do złotej młodzieży Los Angeles. Częściej przesiaduje w pubach niż w biurze.

- Całkiem... tego... goły? - zdziwił się Bob. - Do rodziny Crawfordów należało paru senatorów i

nawet gubernator. W stanie Ohio. Wyczytałem to wszystko w internecie.

Ned Beatty usiłował coś zapisać na wolnej przestrzeni kilku centymetrów karteluszką. Długopis okazał się jednak suchy niczym wiór. Beatty machnął dłonią, zdając się całkowicie na informacje Andrews'a.

- Dobra robota. Bob. Nasi ludzie jeszcze sprawdzą te dane. Swoimi kanałami. A są, mniemam, najlepsze na świecie. Tak więc wiemy, że sufit jest stary jak średniowiecze.

- Nie byłbym tego taki pewien - Jupiter stał na czubkach palców. Ale niewiele to pomagało. Plafon w willi sytuował się na wysokości około trzech metrów. - Tu, w rzędzie przy prawej ścianie, wyraźnie widać jakieś poprawki. Złoto, którym pomalowano drewno, odbiega kolorem od starego.

- Fakt - zgodził się Bob. - Musiano niedawno przemalowywać. Ale to o niczym nie świadczy. Co jakiś czas muzea światowe konserwują wnętrza. Oczywiście uważając, by nie zepsuć całości. Takim przykładem może być oczyszczenie przez Japończyków Kaplicy Sykstyńskiej w Watykanie.

Pete nie miał pojęcia, o czym mówi Bob. Jupiter Jones także. Ale za chińskiego boga nigdy by się do tego nie przyznali.

## ROZDZIAŁ 10

### GDZIE SIĘ ZNAJDUJE CZERWONA GLINA?

- Jest dwunasta w południe - powiedział Pete pół godziny później - nie ma sensu siedzieć w willi aż do północy. Moglibyśmy tymczasem sprawdzić glinę.

Jupiter walnął go przyjacielsko w plecy.

- Wiesz co, Crenshaw? Czasem masz przebłycki geniuszu. Kto ma forszę?

- Po co?

- Na benzynę, koleczy. Ciotka Matylda ostatnio oszczędza na moim kieszonkowym. Mawia, nie bez racji, że skoro nie pracuję w składzie złomu, to i nie zarabiam.

- Mam trzydzieści dolarów - przyznał Bob, grzebiąc po kieszeniach.

- A ja dwadzieścia - Pete wyjął z legitymacji złożony we czworo banknot.

Jupiter Jones usadowił się za kierownicą.

- Wystarczy. Jedziemy zatem w widły dwóch autostrad: Ventura Freeway i San Diego Freeway.

- Mieliśmy się dostać do czerwonej gliny! - Bob nie znał drogi. Nie miał auta. Ani prawa jazdy.

- W porządku - uspokoił go Pete. - Obszar rekreacyjny Sepulveda Dam jest właśnie przy zbiorniku.

O mały włos nie przegapili wjazdu. Jupiter w ostatniej chwili skręcił. Całe szczęście, że prawy pas był pusty.

- Stary! - sapnął Bob. - Stajesz się pomału piratem drogowym.

- Wiesz, ile kilometrów musielibyśmy nadrobić, gdyby nie skręcił? - Pete poprawił czapkę. - Czasem trzeba zapiracić.

Dojeżdżali do pierwszych domków. Lato trwało w pełni, wszędzie dzieci goniły za piłkami.

- Jeszcze dalej? Jak myślisz, Pete? - Jupiter przyhamował. Kolorowa piłka przeleciała nad maską forda.

Bob wystawił kapitańską lunetę przez otwarte okno. Chwilę lustrował otoczenie.

- Tu nie ma żadnej czerwonej gliny. Może bliżej zbiornika.

Jupiter pchał się wąską drogą, uważając, by nie najechać na dziecko lub psa.

- Skręć w lewo! - Bob wyraźnie podskoczył na siedzeniu.

- W lewo? Po co?

- Skręć, jak mówi! - zezłościł się Crenshaw. - Ma lunetę. Widzi więcej niż ty.

Jupiter zazgrzytał zębami, ale nic nie powiedział.

- Tam stoi biały kabriolet.

- No to co? Mało takich wozów? Biedacy tu nie przyjeżdżają.

- Ma teksaską rejestrację - mówił podniecony Bob. - To ona!

- Pamela Crowford?

- Tak. Numer się zgadza. Zapisalem wczoraj. I jest glinka. Na podjeździe. Rozjechana kołami. Ale jest.

Jupiter Jones błyskawicznie ocenił sytuację.

- Dobra. Zaparkuję w krzakach. Wyjdziemy ostrożnie.

Pete z ulgą wydobył się z wnętrza.

- Jupe, ty zostaniesz. Ona cię zna. Nas nie zapamiętała. Widzieliśmy się tylko przez parę sekund na parkingu.

Bob przykucnął ze swoją lunetą. Uważnie penetrował przestrzeń.

- Pete ma rację. Pójdziemy obaj. Ja z moim plecaczkiem wyglądam na zwykłego turystę. Ty się przyczaj w krzakach.

Jupiter nie mógł nie przyznać racji kolegom. Może by się opierał dłużej, gdyby nie świadomość, że w skrytce na rękawiczki leży paczka herbatników w czekoladzie.

Bob i Pete, powłócząc nogami, schodzili ścieżką wiodącą w dół. Z góry widać było dach obszernego domu, poniżej okna mansardy. I sporą, oszkloną werandę.

- To mi wygląda na jakąś pracownię - mruknął Bob. Patrzył przez lunetę ponad ramieniem Crenshawa. - Widzę długie pomieszczenie o ścianach wyłożonych drewnem. Stół... no, widzę kawałek. I jakieś pojemniki... chyba z farbami? Przycięte blejtramy.

Pete poruszył głową.

- Pracownia malarska? Facet maluje portret Pameli? Albo pacykuje niedźwiedzia grizli, a potem okolicznym mieszkańcom sprzedaje landszafty do zawieszenia nad elektrycznym kominkiem?

Bob złożył lunetę.

- Musimy podejść bliżej. Od tyłu jest sporo krzaków. Od frontu się nie da. Przeszkadza duży, wystrzyżony trawnik.

Bugenwille kwitły jak szalone. Toteż obaj detektywi mogli podejść na tyle blisko, by nie wystawiać głów z gęstwiny liści i kwiatów. Od ich zapachu wierciło w nosie.

- Jest! - świszczący szept Crenshawa łaskotał Bobowi ucho. - Pamela. I jakiś świr.

- Dlaczego świr?

- Zobacz, co ma na sobie. Szlafrok czy też chałat, brudny i poplamiony. I ten kucyk na głowie...

- Jest malarzem. Dałoby się zrobić parę skoków do przodu?

Pete przykucnął, następnie opadł na czworaki. W ten sposób pokonał sto metrów oddzielających krzaki od ściany domu. Bob, chcąc nie chcąc, poszedł za jego przykładem. Już otwierał usta, by coś powiedzieć, gdy nagle posłyszał głośnie rozmowę. A raczej kłótnię.

- To się musi udać, George! - mówiła Pamela. - Za dużo pieniędzy włożyłam w sprawę.

- Pamela, opanuj się! W końcu ktoś się zorientuje! Nie jestem Michałem Aniołem.

- Nie jesteś! - podniosła głos. - Przynajmniej się postaraj! Miałeś przygotować na dziś trzy. A nawet ten jeden wygląda jak zrobiony dziecinną kredką! Chcesz, żebym znalazła kogoś innego? Ale wtedy koniec. Nie licz więcej na małe, śliczne paczuszki! W ogóle na mnie nie licz. I na moje pieniądze!

Mężczyzna niewyraźnie mruzczał pod nosem.

- Sama wiesz, że to niemożliwe - roześmiał się nagle. - Musiałabyś wtajemniczyć faceta w całą intrygę. A to może być, moja droga kuzyneczko, niebezpieczne!

Pete szturchnął Boba pod żebro. Ten skinął głową, potwierdzając, że słyszy każde słowo.

- Nie wydasz mnie, George! Nigdy! Nie opłaci ci się. Masz do odsiadki trzy i pół roku. W zawieszeniu. A taka sprawa jak fałszerstwo podwoi wyrok. Znam ławę przysięgłych, George. I to ja zapłaciłam za ciebie kaucję. Nie zapominaj o tym. Całe dwieście tysięcy dolarów!

- Tylko się nie przyznałaś, kuzyneczko, dlaczego to zrobiłaś! Co? Ten sam sędzia i ta sama ława przysięgłych wsadziliby cię do Alcatraz na ładne parę lat.

Kobieta podeszła do okna. Obaj chłopcy wtarli się w ścianę.

- Jesteś artystą, George. I niepoprawnym naiwniakiem. Alcatraz od lat jest wyłącznie muzeum. Ostatni więzień to był Al Capone. Ja mam pieniądze, ty talent. Niestety również pociąg do narkotyków. Moi Japończycy dysponują doskonałą elektroniką. Jeszcze trzy, cztery dni i oboje wracamy do Europy. Do domu, George.

- A twój mąż?

Pamela roześmiała się perliście.

- Wiesz, dlaczego za niego wysłałam, George? Bo się nie liczy. Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść. Nie będzie po mnie płakał. Pocieszy się swoją sekretarką. A my, George, my nareszcie będziemy wolni! Sprawiedliwości stanie się zadość. Posłuchaj... mam bardzo mało czasu. Wezmę to, co zrobiłeś. Choć Bogiem a prawdą, to straszny knot. Na jutro machnij jeszcze dwa. W porządku?

Odpowiedzi mężczyzny Bob i Pete już nie usłyszeli. Cicho jak koty pomknęli na czworakach w stronę bezpiecznej zasłony z zieleni. Tam chwilę posiedzieli czekając. Miss Pamela Crawford wciąż była w środku.

- Zmiotamy! - wyszeptał Pete.

Dali nogę tak szybko, jakby od tego zależało ich życie. A może naprawdę zależało?

Jupiter Jones wjechał na autostradę. Przed kilkoma minutami minął ich biały kabriolet z Pamela Crawford i jej kapeluszem w środku. Na tylnym siedzeniu leżał pakunek zawinięty w brązowy papier.

- To podniecające - powiedział wreszcie Jupe, gdy już obaj detektywi powtórzyli mu, słowo w słowo, podsłuchaną rozmowę. - Ten George jest malarzem? Czyżby kopiował słynne dzieła?

- Nie sądzę! - Bob tarł czoło. - Sam mówił, że nie jest Michałem Aniołem. Albo kimś tak sławnym. Wątpię, żeby ktoś dał się nabrać na jego bazgroły. Coś jednak maluje dla Pameli. Nie miałem pojęcia, że ona ma tu jakiegoś krewnego.

- Nieznany kuzyn! - mruzczał Pete, wiercąc się na tylnym siedzeniu. - Takie historie zdarzają się w meksykańskich serialach, które z lubością ogląda moja mama. Z czyjej strony? Gettych czy jej matki?

Bob szeleścił kartkami. W końcu schował je nieusatysfakcjonowany.

- Spróbuję w internecie. jeśli tam nie będzie drzewa genealogicznego tej rodziny, znajdę je w Instytucie Historycznym w Santa Barbara. Inaczej nie ruszymy z miejsca. Duch Malcolma Fostera jest najwidoczniej powiązany z Pamelą.

- To dlaczego tak się bała w galerii, kiedy się ukazał? - dziwił się Jupiter Jones. - Sam ją widziałem leżącą. Zemdloną ze strachu! No... - zajęczał - nic już nie rozumiem! Mówili o ucieczce do Europy? Po co?

Pete Crenshaw machał rękami niczym wiatrak. Zwykle raczej flegmatyczny, teraz wykazywał oznaki najwyższego podniecenia.

- Wyraźnie czuję rodzinny spisek.

- Z duchem Malcolma na czele? - sceptycznie mruknął Bob.

- To się kupy nie trzyma. Cała nadzieja w dotarciu do szczegółów. Jeśli będziemy mieć motyw, znajdziemy sprawcę.

- Tak mówi pierwsza zasada dobrego detektywa - skwitował Jupiter Jones. - Znajdź motyw, a sprawca sam poda ci ręce do kajdanków.

W Kwaterze Głównej komputer rozgrzewał się do czerwoności. Bob dmuchał w opuchnięte opuszki palców. Ale tajemnica rodu Gettych pozostała nie rozwiązana.

- Nic - wystękał. - Niech mi ktoś poda coś zimnego do picia. Zaraz roztopię się razem z tą maszyną.

Pete z trzaskiem otworzył ostatnią puszkę sprite'a.

- Ciepłe. Lodówka znów wysiadła. Urządzenie nie wytrzymuje upału. A klimatyzacji nie mamy.

- Za to mamy klimat podzwrotnikowy - wzruszył ramionami Jupiter.

- Osobiście chętnie wyniosłbym się dzisiaj na Alaskę. - Bob wyłączył komputer. - Dosyć. Może nasz przyjaciel z FBI coś pomoże. Bo na razie to my pomagamy jego firmie.

Jupiter kręcił głową.

- Nie zamierzam wtajemniczać Neda w historię malarza mieszkającego w okolicy czerwonej gliny. A poza tym nie wyjaśniliśmy wielu innych spraw.

- Na przykład czego? - wyjęczał Pete. Tak naprawdę marzył, by popływać w oceanie.

- Po pierwsze - Jupe wystawił kciuk - kim jest ów George. Po drugie - palec wskazujący przebijał powietrze - co takiego maluje. Po trzecie - środkowy wyskoczył niczym diabeł z pudełka

- Dlaczego czerwoną glinką umazane były opony terenowej toyoty kowboja. Czy on zna kuzyna Pameli? Po czwarte...

- Litości! - Bob ocierał spocone czoło. - Wyjdźmy z tej łaźni parowej! Chodźmy przejść się po plaży.

Jupiter podniósł się z krzesła.

- Popieram. Muszę tylko wiedzieć, czy dziś też udajemy się do galerii na spotkanie z duchem?

- Oczywiście! - Pete wysforował się naprzód. Stawiał tak wielkie kroki, że pozostała dwójka z trudem mogła za nim nadążyć. - To jedyna zabawna część naszej tajemniczej sprawy!

Nic jednak z tego nie wyszło. Ku zdumieniu Trzech Detektywów nie wpuszczono ich nawet na parking.

- Zatelefonujcie do Neda Beatty'ego! - pieklił się Bob Andrews.

Pilnujący terenu policjanci nawet nie kiwnęli palcem.

- Wiesz, co myślimy o facetach z FBI? - mruknął półgłosem wygolony młodzik w niebieskiej koszuli z krótkimi rękami. Kolba jego porządnego pistoletu sterczała na wąskich biodrach. - Wynoście się, ale już!

- Jesteśmy detektywami! - starał się załagodzić Jupiter. - Pomagamy w śledztwie.

Policjanci z nadmiaru uciechy pokleпали się po plecach.

- W porządku, chłopcy, jedźcie sprawdzić, czy wymieniono piasek w piaskownicy! Zadanie detektywistyczne w sam raz dla was!

- Ned Beatty powie, gdzie jest wasze miejsce! - warknął Pete z tylnego siedzenia.

- Bardzo jesteśmy tego ciekawi! - wrzasnął blondyn, kopiąc zużytą przednią oponę forda. - A teraz zmiatajcie stąd, bo wlepię wam mandat za złe ogumienie...

Jupiter Jones, chcąc nie chcąc, wykręcił. I znów o mały włos nie zderzył się z szybko jadącą limuzyną o zaciemnionych szybach.

- Pamela? Przystopuj, Jupe! - Bob błyskawicznie wyregulował lunetę.

- Chyba tak. Zatrzymała się przy tej bramie kutej w żelazie. Ma elektroniczne zamki sterowane pilotem.

- Pewnie ci sami Japończycy, którzy instalowali alarmy w galerii. Pamiętasz Pete, co Pamela mówiła George'owi o Japończykach?

Bob wciągnął lunetę do środka.

- Wtedy, kiedyśmy ich podsłuchali? Tylko tyle, że Japończycy mają doskonałą elektronikę.

Jechali drogą wiodącą pod górę. Jupe siedział za kierownicą, ze zmarszczonymi brwiami. Był wyraźnie wściekły.

- To może znaczyć także, że Pamela jest w zмовie z japońską ekipą. No, z niektórymi z nich. Jedziemy do domu George'a. Będziemy tam tkwić tak długo, aż wyjdzie. Wtedy obejrzymy sobie jego pracownię. Co wy na to?

Bob i Pete natychmiast zaakceptowali pomysł.

# ROZDZIAŁ 11

## CO ODKRYTO W PRACOWNI MALARSKIEJ?

Była już szósta po południu, gdy z domu krytego czerwoną, plastikową dachówką wychynął chudy mężczyzna z kucykiem tłustawych włosów, ubrany w krótkie bermudy i kolorową koszulkę. Zamknął drzwi na klucz, który następnie umieścił niefrasobliwie w dużej białej donicy z owocującą właśnie cytryną. Po obu stronach wejścia stały takie drzewka.

- Sztuczne! - prychnął Bob. - Ci kalifornijczycy mają coraz gorszy gust! Po kiego diabła ozdabiać podjazd sztuczną przyrodą, skoro pełno tu dookoła prawdziwej?

Pete z ulgą wygrzebywał się z krzaków. Tkwili w nich od godziny, toteż czuł mrowienie w łydkach.

- Bo kalifornijczycy są coraz bardziej wygodni. Takiej roślinki nie trzeba podlewać. Wystarczy raz na rok odkurzyć. To samo dotyczy sztucznych trawników. Po prostu się je pierze. Tylko szaleni Anglicy pielęgnują trawniki przez trzysta lat. Cała nasza historia jest krótsza od strzyżonego parku Birmingham.

- Przestańcie gadać - Jupiter wciąż był zły. - Skorzystamy z klucza. Ale uwaga: zdejmujemy buty. Wszyscy. Nie możemy zostawiać śladów. I niczego nie dotykać gołymi łapami!

- A jak? - obraził się Pete.

Bob wyjął z plecaka małe zawiniątko.

- Wszystko przewidziane. Także cienkie rękawiczki. Pete, ty otwierasz. Robisz to najlepiej. A przede wszystkim błyskawicznie.

Crenshaw lubił, gdy się go chwaliło. Jupiter mniej. To znaczy też lubił. Ale gdy pochwała dotyczyła jego osoby.

Weszli, ostrożnie stawiając stopy w samych skarpetkach. Starali się poruszać bezszelestnie i niczego nie przewrócić. Na parterze udało się bez problemu. Gorzej było na mansardzie. Nagle znaleźli się w pomieszczeniu pachnącym rozpuszczalnikami, farbami i całą tą paskudną chemią nieodłączną od malarskich ambicji twórców.

Bob natychmiast wlaźł w puszkę niebieskiej farby. Stał z nogą uniesioną w górę, niczym flaming. Tyle że porządny flaming ma nogi różowe. Zaś ze stopy Boba kapłała błękitna farba.

- Nie ruszaj się! - powiedział spokojnie Jupe. - Zaraz cię spacyfikujemy. Pete, usadź ofiarę na krześle. Niech tę lazurową łapę trzyma z daleka od innych puszek.

- Spójrzcie tam! - Bob, choć zmieszany sytuacją, nie przestał bacznie przyglądać się pracowni. -

Tam, na lewo!

Dwaj detektywi podszli ostrożnie do opartych o ścianę płócien. Przedstawiały anioły. Lub święte postaci.

- Takie same jak te w kasetonach na suficie galerii! - zdziwił się Pete. - No... prawie takie.

- A tu, w pudełku, są cieniutkie płatki złota - ucieszył się Jupiter Jones. - Niczym mgiełka!

- Nie dotykaj! - Bob wciąż trzymał niebieską skarpetkę nad puszką. Krople powoli skapywały w dół. - Wiem, do czego służą. Podobne widziałem w pracowni konserwatorskiej w Santa Monica. Ojciec robił reportaż o sposobie przywracania młodości zżartym przez korniki drewnianym rzeźbom. Kiedy już nasączy się je środkami przeciw grzybom i owadom, kładzie się taką cienką pozłotkę.

- Jak na obrzeżach kasetonów pod sufitem.

- Kuzynek Pameli pewnie jest konserwatorem. Ale dlaczego robi to w tajemnicy?

Pete przyglądał się różowemu aniołkowi o nieco zbyt obfitych kształtach.

- Ma gębę starego zbója! Ludzie, to nie jest żaden artysta, tylko zwykły pacykarz. Spójrzcie... tu są wzory. Zdjęcia aniołów z sufitowej galerii. Wygląda na to, że wymieniają kasetony. Ale po co?

Jupiter Jones skubał wargę. W jego mózgu zabręczał ostrzegawczy dzwonek. Zawsze tak było, gdy zbliżał się do prawdy. Lub gdy wpadał na genialny pomysł.

- Tam już kilka wymieniono. Ale wiecie, co mnie niepokoi? Ich format.

Bob ostrożnie postawił błękitną stopę na kawałku grubej tektury, której strzępy walały się po całej pracowni.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- A tylko to - Jupiter Jones efektownie zawiesił głos - że są dokładnie tego formatu, co ukradzione obrazy! Mam oko! Rozumiecie? - wyjął z kieszeni metalową miarkę i przyłożył ją do tłustego aniołka o rozmazanym oku. - Moim zdaniem, co do milimetra!

- Jakie to może mieć znaczenie? - wzruszył ramionami Pete.

Siedzieli wygodnie na ławce noszącej ślady wielu pikników. Drewniany stół porysowany nożem chwiał się na jednej, krótszej nodze. Widać administrator ośrodka sportowego nie dbał należycie o wspólne dobro. Woda w zbiorniku retencyjnym miała kolor podobny do tego, jaki prezentowała lewa stopa Boba. Chłopcy musieli pokonać wiele trudności i niebezpieczeństw, by przetransportować nieszczęśnika, nie pozostawiając śladów. Słońce zachodziło po stronie wzgórz. Jeszcze minuta, dwie, a na kemping spadnie mrok.

Jupiter Jones uparcie rysował coś na kartce. Zdawał się nie dostrzegać upływającego czasu. W myślach wciąż analizował to, co zobaczył w malarskiej pracowni.

- Wygląda, że się zgadza - mruzczał, nie odwracając wzroku od wypisanych cyfr.

- To znaczy: co? - Pete gimnastykował się na trawniku.

- Wymiary płócien z aniołami lub świętymi są dokładnie takie, jak wymiary obrazów, które zabrał duch. Inne, wiszące w galerii, są większe lub prostokątne. Tych Malcolm nie rusza. Na razie. Ale jeszcze nie rozumiem, jakie to ma praktyczne znaczenie.

- Jedźmy do domu! - Pete podniósł się z trawnika. - Robi się późno. Tutaj niczego nie wymyślimy. I zabrakło już kanapek.

Chyba kanapki zadziałały. Jupiter wstał.

- To jedziemy!

Jupiter Jones wycierał się pod prysznicem, gdy do łazienki zabębnił wuj Tytus.

- Jupe, telefon. Jakiś ważny tajniak!

Ważnym tajniakiem okazał się Ned Beatty.

- Gdzie się podziewałeś cały dzień? - głos agenta brzmiał surowo.

Jupiter, zaskoczony, wyjąkał cichutko:

- Nie wpuścili nas na parking. Policja. Taki blond młodzik. Zagroził mandatem...

- Nieważne! - powiedział Beatty. - Natychmiast przyjeżdżajcie. Podaj mi tylko numer rejestracyjny swojego grata. Posterunki od Rocky Beach będą salutować na jego widok. Obiecuję!

- Ale... jest późno - jąkał się Jupiter. - Wątpię, by chłopaki mogły wyrwać się z domu. Cały dzień spędziliśmy w ośrodku nad zbiornikiem... - w ostatniej chwili ugryzł się w język. Jeśli sądził, że Ned Beatty uwierzy, że byli tam w czysto rekreacyjnych zamiarach, grubo się mylił.

- Nie zawracaj mi głowy! - warknął agent. - Jeśli byłeś gdzieś poza plażą, musiało się to wiązać z duchem. A może się mylę? Co odkryliście?

Jupiter Jones odzyskał już koncept.

- Pan powie nam, my powiemy panu. Gra?

- Gra. Jeśli tamci nie mogą wyjść o dziesiątej z domu, to ich strata. Przyjeżdżaj. Dobrze wpływasz na moje szare komórki.

- Dziękuję - wyjął Jupe. - Bardzo to miłe z pana strony.

Ned Beatty już się wyłączył. Ku zdziwieniu Pierwszego Detektywa zarówno Bob, jak i Pete wyrazili entuzjastycznie chęć spotkania się z duchem starego przyjaciela Malcolma.

Toteż przepuszczany przez wszystkie posterunki ford na sfatygowanych oponach zaparkował w pobliżu willi-muzeum.

- Blond gnojka nie było! - ucieszył się Pete. - Widać FBI odwołało go do patrolowania ulic w chińskiej dzielnicy! Dla tak ambitnego policjanta nie ma nic gorszego!

Weszli eskortowani przez uzbrojonego Johna Brentona.

- Cześć chłopaki. Nie wiem, jak długo to nieszczęsne muzeum będzie siedliskiem tajniaków. Ale powiem wam, że mi się to nie podoba. Świętej pamięci starszy pan Getty nigdy by na to nie pozwolił. Ruszyliby w razie czego nawet Waszyngton. Co innego jego młodszy brat. Niby ta sama krew, ale...

Jupiter Jones roześmiał się.

- Bo nikt dotąd nie miał do czynienia ze złodziejem-zjawą!

Stary wcisnął niżej rondo szerokoskrzydłego kapelusza.

- Stary pan na pewno przewraca się w grobie!

- A pani Pamela? Co myśli? - Bob zadał pytanie jak najniewinniejszym głosem.

- Co Pamela? - kowboj aż przystanął. - Niech nikt się nie odważy mówić źle o panience!

- Nikt nie mówi źle - uspokajał Jupe. - Ciekawi jesteśmy tylko, co myśli.

Ale stary nie odezwał się już ani słowem.

Ned Beatty leżał na plecach na środku pustej galerii. Przed zębem ciągnącym od marmurowej posadzki chroniły go dwie poduszki zdjęte z sofy. Nawet nie mrugnął okiem, gdy weszli do środka.

- Dobrze, że jesteście. Obmyślam, w jaki sposób znikają obrazy, choć wszystko pozostaje nadal zamknięte - wymamrotał. Jego dłoń sięgnęła po kanapkę z ogórkiem. Chwilę żuł w milczeniu. - Macie koncepcję?

Pete usiadł obok ze skrzyżowanymi nogami.

- Coś mamy - stwierdził sucho. - Jeśli pan wie o faktach, których nie znamy... możemy wymienić myśli.

Ned Beatty połknął ostatni kęs.

- To się nazywa szantaż. Tak?

Jupiter Jones stanął nad jego głową. Ze skrzyżowanymi na piersiach dłońmi przypominał Thomasa Jeffersona z okresu wojny o niepodległość państwa.

- Coś panu powiem: kiedy uciekałem z lekcji, by pójść na mecz Dodgersów, zawsze umierała mi babcia...

- Wszyscy mieliśmy tę samą babcię! - roześmiał się Pete.

Ned usiadł, podpierając się lewą dłonią.

- Dobrze, już dobrze. Wiem, że potraficie kłamać jak z nut. Od szkolnych czasów. Ale to cholerne śledztwo nie posuwa się ani o milimetr. No dobra. Coś wiem. Dotyczy...

- Drzewa genealogicznego Pameli Crowford? - Bob przykucnął z płonącymi oczyma.

Beatty aż cmoknął.

- Dobry jesteś, synu. Tobie się nie udało, a mnie tak. Pogrzebałem w archiwum FBI. Na szczęście teleksy działają bez zarzutu. To, czego nie ma w internecie, znalazło się w głębi przepastnych szaf Waszyngtonu.

- I co? - Jupiter dalej stał w rozkroku.

- A to, że panienka ma... jakby to określić... dość dziwny i skomplikowany rodowód.

- To znaczy? - niecierpliwił się Pete.

- Że płynie w jej żyłach bardzo małutko krwi Gettych.

Trzej Detektywi szeroko otworzyli oczy.

- Jak to możliwe? - wyjąkał Bob. - Jest przecież prawnuczką zdobywcy pól naftowych i majątku!

- Tylko po kądzieli.

- Po czym? - Pete denerwował się, gdy używano nieznanego mu słów.

- Rodzina matki - burknął Bob. Czasami się wstydził nieuctwa kolegi. Ale Pete taki już był. W szkole odrabiano za niego zadania po to, by Crenshaw mógł trenować koszykówkę, w której był mistrzem. Bez niego drużyna z Rocky Beach nie zdobyłaby trzech pucharów.

- Mogę dalej? - Ned Beatty spojrział na zegarek. - Nie przerywajcie, bo duch nas zaskoczy całkiem nieprzygotowanych. A postanowiłem dziś z nim powalczyć!

- O.K. Słuchamy.

- Pamela Crawford jest jedyną córką Letycji O'Connel. Kiedy Frank Getty, wnuk starego, ożenił się z Letycją, była wdową. O'Connel to nazwisko jej pierwszego męża. Nie jest dla nas ważny, bo dawno umarł na białaczkę. Ale Letycja miała jakieś nazwisko panieńskie, prawda? - Ned zatoczył rękami koło.

- No tak. I co?

- Jak myślicie, jakie?

Jupiter Jones wziął w płuca zapas powietrza.

- Foster?

Ned zaklaskał w pulchne dłonie.

- Tak jest. Letycja z domu Foster. Pochodzi w prostej linii od naszego Malcolma. Był jej pradziadkiem. A tradycja do dziś głosi, że Szkoci, choćby po trupach, dopną swego. Zemsta jest obowiązkiem klanu. Dlatego Letycja nigdy nie zdradziła swego pochodzenia.

- Pamela o tym wie - stwierdził Jupiter. - I jej kuzyn George. Malarz. Odwiedziliśmy dziś jego pracownię - dokończył. - Chce pan wiedzieć, co zobaczyliśmy?

Chłopcy opowiadali na wrywki. Dla podkreślenia prawdy, i tylko prawdy, Bob odsunął skarpetkę, by ukazać nieskazitelnie niebieską skórę.

- Nie zdążyłem jeszcze dokładnie zmyć farby.

Ned Beatty uśmiechnął się kącikiem ust.

- Bagatela! Błękit pruski! No to, panowie, mamy jak na dłoni wspaniałą rodzinny spisek.

Jupiter Jones nie był szczęśliwy. Nie całkiem.

- Ale jak im to udowodnić? Ławnicy w sądzie nie uwierzą, nawet gdyby Bob zaklinał się na swoją lazurową stopę! Gdzie dowody?

Ned wreszcie podniósł się z posadzki. Musiał dopomóc sobie obiema rękami. Wyglądał dość zabawnie na czworaka.

- Mówisz zupełnie jak moi pracodawcy! - skrzywił usta. - Też sądzę, że powinienem obstawić muzeum dwiema setkami agentów, trzema policjantów i dopiero wtedy czekać na rozwój wypadków. Ale ja wierzę tylko w koncepcję. Jeśli ktoś chce straszyć, to musi mieć powód. I trzeba czekać, aż się potknie...

- Duch się nie potknie. On... - Pete niebacznie dotknął dłonią ramy obrazu. Rozległ się

przeraźliwy dźwięk alarmu. Tak potworny, że obecni w galerii zatkali uszy. Za oknami pojawiły się zaniepokojone twarze. Blade, na tle czarnej nocy wyglądały niczym zjawy z innego świata. John Brenton wpadł z bronią gotową do strzału.

- Co się...

- Nic. Wypadek przy pracy - zaszemrał Beatty. Jego twarz miała barwę popiołu. Pete stał niczym sparaliżowany. Nigdy dotąd nie słyszał bardziej przerażającego dźwięku. John wpadł do pokoiku, by wyłączyć wyjące urządzenie. Jupiter Jones nie spuszczał z niego wzroku.

- Czy każdy może wyłączyć alarm? - spytał, gdy znowu zapanowała błoga cisza.

Brenton trzymał lufę mossberga skierowaną w dół.

- Nonsens. Tam jest sterownia, do której można wejść jedynie z galerii. I trzeba znać kod.

- A miss Pamela go zna? - spytał Ned z niewinnym wyrazem twarzy.

Brenton pobladł. Jego brwi zmarszczyły się.

- Nie. Nie wiem... stary pan tylko mnie powierzył tajemnicę.

- I duchowi Malcolma Fostera - odezwał się Bob cicho.

W Johna Brentona jakby piorun strzelił. Rzucił się w stronę chłopca, chcąc go zetrzeć na miazgę.

- Stój! - wrzask agenta FBI i pistolet, który pojawił się nagle w jego dłoni, ostudziły zapal stróża. - Niech się pan uspokoi, Brenton. I proszę nie zapominać, że jest pan tu za moim przyzwoleniem. W świetle zaistniałych aktów kradzieży stał się pan podejrzanym numer jeden. I powoływanie się na rodzinne zasługi czy też układy nic panu nie pomoże. Czy to jasne, panie Brenton?

Kowboj po raz pierwszy miał w oczach strach.

- Ja? Podejrzanym?

- Tak. Tylko pan zna kod unieruchamiający alarm. Może pan współpracować z każdym. Także... z duchem. A teraz proszę odłożyć broń. Na podłogę.

Brenton ciężko dyszał. Jego palce manipulowały przy spuście, ale raczej z nawyku niż z chęci użycia go.

- Muszę pilnować parku. Ten mossberg...

Ned Beatty od dawna nie przypominał już pluszowego misia. Głos miał stalowe brzmienie, a srebrzysta lufa ingrama ziała czarną dziurą wylotu.

- Powiedziałem, Brenton. Nie chcę wzywać ludzi. Stoją tam, na zewnątrz. Czekają na moje jedno słowo.

- Świat się kończy - mruknął kowboj, składając oręż w wyznaczonym miejscu. - Teraz jestem bezbronny niczym więzień z Sing-Sing.

- I bardzo dobrze. Jest godzina... - Beatty zerknął na zegarek - jedenasta czterdzieści cztery. Za kilkanaście minut stary, szacowny Szkot przyjdzie po następny obraz. Zostanie pan tutaj, panie Brenton. W środku. Razem z nami. No, panowie... - zwrócił się ku Trzem Detektywom. - Proszę o ekspertyzę. Co tym razem ukradnie Malcolm Foster?

Jupiter Jones od dłuższej chwili chodził wzdłuż ścian, uważając, by niczego nie dotknąć palcem. Odwrócił uśmiechniętą twarz w kierunku agenta.

- Są trzy możliwości, panie Beatty: Veronese, Rubens albo Van Gogh. Tylko jedno z tych płócien.

Ned zaklaskał w dłonie.

- Widzi pan, Brenton? Nawet chłopcy wiedzą, co się tu stanie lada moment. Tak jest. Veronese, Rubens albo Van Gogh. Te piękne irysy.

John Brenton niczego nie rozumiał. Pozbawiony swojej "armaty", jedynej zabawki, która stawiała go w rzędzie nietykalnych, zgubił się zupełnie. Osłupiałym wzrokiem toczył od jednego do drugiego.

- A... miss Pamela? Dlaczego nie ma panienki?

Agent FBI zacisnął usta.

- Właśnie zatrzymano jej biały kabriolet. Policja dostała ode mnie taki rozkaz. No cóż, panienka nie obejrzy dziś ducha. - Zabrzęczał telefon komórkowy. Beatty słuchał uważnie. - Tak. Proszę wpuścić. Natychmiast. Zdziwisz się, mój synu - zwrócił się do zdumionego Pete'a. - Właśnie idzie tu do nas twój tato.

Papa Crenshaw wszedł przez drzwi prowadzące z tarasu. Zawczasu wyłączono je spod działania japońskiego urządzenia.

- Jestem - powiedział wesoło. - Cała ta historia wywołała wiele szumu. Także u nas, w wytwórni Metro-Goldwyn-Mayer. Nie wiem tylko, czy...

I właśnie wtedy zegar nad kominkiem wydzwonił północ. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki tajemnicza poświata spłynęła gdzieś spod sufitu, jakby wydmuchnął ją jeden z tych tłustych aniołków z buzią w ciup. Poświata w ciągu kilku sekund zmieniła się w ducha Malcolma. Stał z wyciągniętą dłonią, w swym szkockim berecie z pomponem i z błyszczącymi klamerkami u pantofli. Głuchy głos wygłosił w śmiertelnej ciszy ponury tekst:

- Odbieram tylko to, co mi się należy, wspólniku. Swoją krwawicę.

W tej chwili zgasło światło. Rozległ się dziwny szcęk, jakby otwierającego się zamka. Coś trzasnęło, zabrzęczało i... wszystko wróciło do normy. Znow rozbłysły żarówki żyrandola, zniknęła posępna zjawia. Tylko na jednej ze ścian przybył pusty kwadrat.

- Veronese! - wrzasnął Jupiter Jones. - Miałem rację!

Pete stał jak przemurowany. Kiedy objawił się duch, chwycił ojca mocno za rękę.

- Puść, synu. Już po wszystkim.

- Tyle że nie jesteśmy w komplecie - powiedział Bob. - Brenton zniknął. I jego mossberg.

Ku zdziwieniu obecnych Ned Beatty machnął dłonią.

- Nieważne. Chciałem tylko, by był z nami punktualnie o dwunastej. Co pan o tym sądzi, Crenshaw?

- Holografia - odparł znawca filmowych trików. - Metoda fotografii trójwymiarowej.

- Nie rozumiem, tato?

- Metoda oparta jest na zjawisku fal elektrycznych. No... inaczej mówiąc: fotografia laserowa. Zastosowali tu hologram postaci starego Szkota. Był to fotograficzny obraz otrzymany metodą holografii.

- Czyli zwyczajna technika! - westchnął rozczarowany Bob. - Szkoda.

Jupiter Jones wciąż kręcił głową z niedowierzaniem.

- Wyglądał tak prawdziwie! Ale dlaczego zniknął obraz? I gdzie jest, u Boga Ojca?

- A to już całkiem inna sprawa! - uśmiechnął się papa Crenshaw. - Ale wierzcie mi, staremu znawcy wszystkich trików świata, on tu jest. Tylko trzeba trochę pogłównkować. I sprawdzić tę galerię od podłogi po sufit.

- Najlepiej rozebrać na kawałki! - zdenerwował się Pete. - Jakiś spryciula wodzi za nos Trzech Detektywów i pułk agentów FBI! A my nic!

Ned Beatty poklepał go po plecach.

- Niestety. Nie wolno nam ruszyć ani centymetra ściany. To zabytkowa willa.

- Tyle że opleciona milionem niewidocznych kabli - mruczał Jupiter Jones. - Kiedy znajdziemy wyłącznik hologramu, duch zniknie w zaświatach. Gdzie jego miejsce.

- A obrazy? - jęczał Bob, chwytając się za głowę. - Gdzie obrazy?

## ROZDZIAŁ 12

### CO UKRADŁ DUCH?

- Ciągłe nie wiecie, gdzie one są? - dziwiła się ciotka Matylda, przeglądając gazety. Szukała ciekawych ogłoszeń o aukcjach staroci.

- Nie wiemy. To jakiś piekielny trik techniczny - odparł wściekły Jupiter. Sprawa ciągnęła się już zbyt długo. - Wszystkie puzzle pasują. Cała afera nabiera sensu. Trzeba tylko udowodnić rodzinie Gettych, że ich prawnuczka pracuje na chwałę Fosterów.

- Nie można tego załatwić? - dziwiła się ciotka, składając prasę. Nic dziś nie znalazła ciekawego. - Wystarczy jeden telefon do głowy rodziny.

Jupe wydał usta.

- W tym rzecz, że panienska Pamela ma wszelkie pełnomocnictwa. I nikt nigdy nie udowodnił jej kradzieży. To, że kuzynek pacykuje anioły i błękitne nieboskłony, o niczym jeszcze nie świadczy. Idę, ciociu.

Ciotka Matylda sięgnęła do kieszeni fartucha. Banknot pięćdziesięciodolarowy zasilił kasę Pierwszego Detektywa.

- Na benzynę. Kiedy skończycie śledztwo, weźmiesz się do prawdziwej roboty.

Jupiter Jones skinął głową. Co miał powiedzieć? Że myślenie ma przyszłość? Że szare komórki są czasem ważniejsze od mięśni rąk i nóg? Z jednej strony ładowanie staroci na wszystkożerne półciężarówki, z drugiej zaś mozolne dochodzenie prawdy o dziełach sztuki znikających w ciemnościach willi z czasów Herkulanum.

Coś się wszakże działo, bo na posterunku powyżej Topanga Beach zatrzymano forda skinieniem dłoni. Nie był to wszelako znenawidzony blondasek, lecz sam szeryf z Santa Monica.

- Co się stało? - Bob wychylił głowę przez otwarte okno.

- Zaczekajcie. Jedzie ktoś ważny.

Jupiter skubał wargę.

- Ważny? To znaczy prezydent Stanów Zjednoczonych?

Szeryf nie miał ochoty na polityczne dywagacje.

- Powiedziałem wyraźnie: ktoś ważny.

Pete wściekał się z tyłu wozu. W końcu wsadził do ust gumę do żucia.

Nie czekali długo. Drogą wiodącą do Malibu przemknął pancerny lincoln continental, ze srogim, ostrzyżonym po wojskowemu szoferem.

- Ludzie, toż to wóz z zaprzeszłej epoki! Kto jeździ takim czołgiem? - Bob o mało nie wypadł z forda.

Szeryf stał jak skamieniały, z rękami wyciągniętymi wzdłuż wyprasowanych spodni. Wyglądał, jakby salutował całej Armii Południa.

- Stary pan Getty. Głowa rodu - powiedział przez zęby, gdy już pancerny wóz wjechał do strzeżonej wysoką bramą rezydencji. - Przyjechał do wnuczki.

Jupe zapalił silnik. Nie czekając na przyzwolenie, powoli wtoczył się na parking.

- Nie ma auta Pameli. Ani terenówki Brentona - zdziwił się Pete.

- Dobrze, że jest choć Ned Beatty - Jupiter raźnie ruszył w kierunku patio. Pod rzeźbą starego fauna siedział agent FBI, przeglądając notatki.

- Jesteśmy! - zawołał Bob. - Co nowego?

Ned pstryknął palcem w rondo słomkowej panamy. Jego pulchna twarz ukazała stężone rysy.

- Koniec, panowie. Koniec znaczy: szlaban.

- Co takiego? - Jupiter nie zrozumiał dokładnie. Szóstym zmysłem wyczuł intencję brzmiącą w głosie Neda. - Chce pan powiedzieć, żebyśmy się wynieśli do wszystkich diabłów?

- Coś w tym rodzaju - Beatty schował plik zapisków do przepoconej kieszeni na piersiach. Temperatura, nawet jak na słoneczną Kalifornię, nieco przesadziła. Przekroczyła sto stopni w skali Fahrenheita. - Ruppert Getty dał szlaban. Wnuczka się poskarżyła.

Pete przysiadł obok.

- Właśnie przyjechał. Opancerzonym lincolnem. Boi się o swoje życie?

Beatty żuł źdźbło trawy.

- Bogacze tego świata boją się od urodzenia. Wielkie pieniądze przyciągają wielkie namiętności. Nie zapominajcie o tym. A ja przez skórę czuję krew. I zbrodnię.

- Oby się pan mylił! - Bobem wstrząsnął dreszcz. Kochał swoją dokumentację komputerową. Kochał internet i to wszystko, co w nim mógł znaleźć ku zadowoleniu własnych, chłonnych szarych komórek. Jednym słowem: kochał wiedzę. Nienawidził przemocy. Także zbrodni. I kary.

Pete tkwił w trawie niczym jedna z rzeźb ogrodowych.

- Ktoś... kogoś zabije? - spytał.

Ned Beatty podniósł się z marmurowej ławki. Rondo kapelusza osłaniało mu twarz.

- Coś wam powiem, chłopcy. Jestem urodzonym wywiadowcą. A urodzony wywiadowca to człowiek, który wie, czego szuka, zanim to znajdzie.

Jupiter Jones pokiwał głową. Też tak uważał.

- Proszę nam powiedzieć, co będzie dalej? Czy przyjazd Pancernego Dziadka oznacza koniec śledztwa? Wszyscy się ugną? Pieniądze ponad prawem?

- Na to mi wygląda - odparł agent. - Pamela zrobiła genialne pociągnięcie: ściągnęła tego, który ma władzę.

Bob biegał w kółko wokół tryskającej kroplami fontanny.

- Ma taką władzę, że milkną przy niej szeryfowie i prokuratorzy? Że można okradać muzeum z bezcennych dzieł należących do całej ludzkości? Całej ludzkości tego parszywego świata?

- Tak być nie powinno. Ale się zdarza. W końcu to pieniądze Pancernego Dziadka, jak go nazwałeś, idą na nowoczesne uzbrojenie państwa, programy Pentagonu i rakiety typu Apollo.

- Stary piernik pozwoli się okradać z Rafaela? Veronese'a? By jakiś szkocki dupek ratował rodzinę Malcolma Fostera?

- Zmywamy się - powiedział gorzko Beatty. - Jego forpoczta już tu zmierza wielkimi krokami.

Istotnie, wzdłuż przystrzyżonego żywopłotu maszerowało kilku gładko wygolonych goryli w ciemnych okularach. Ich superczarne garnitury i nieskazitelnie białe koszule kontrastowały nie tylko z budowlą okresu Herkulanum. Także z temperaturą pieca hutniczego. Za nimi dreptał malutkimi kroczkami niski, krępy mężczyzna o żółtawej cerze i brązowych, starczych plamach na czole. Różowa sukienka wdzięczącej się Pameli wyglądała jak zabłąkany motyl.

Na widok chłopców i Neda Beatty'ego Pamela zmarszczyła brwi.

- Dziadku, to właśnie ci ludzie przeszkadzają w śledztwie!

Goryle zwarli się wokół żółtawego człowieczka. Ten jednak odsunął ich niedbałym ruchem ręki.

- Na Boga! Ned? To ty, mój dobry człowieku?

Ku ogromnemu zdziwieniu wszystkich obecnych stary pan pospieszył ku fontannie, zabawnie drobiąc małymi stopkami w butach od włoskiego kreatora mody. Wyglądał na człowieka, który zapomniał, jak się stawia kroki. Zmęczony opadł na ławkę.

- To ja - odparł agent. - Nie sądziłem, że mnie pan zapamiętał.

Stary człowiek skinął na goryla.

- Przynieś nam coś do picia. Tylko żeby było zimne jak lód na szczycie Kilimandżaro.

- Nie wolno ci niczego pić! - Pamela usiłowała za wszelką cenę zaistnieć. Nie po to wezwała dziadka, by teraz ponieść sromotną klęskę.

- Odejdź, dziecko! - odpędzał wnuczkę niczym natrętną muchę. - Potem, potem...

Czarne okulary zrozumiały gest pana i władcy. Goryle odprowadzili wierzgajacą Pamelę w strefę uznaną za bezpieczną.

Ned Beatty wciąż stał, a za nim przeżyło się Trzech Detektywów.

- To są chłopcy, którzy bardzo mi pomogli - wyjaśnił. - Jestem o krok od rozwiązania tajemnicy. Oni też.

- Starego Malcolma Fostera? - małe oczka błysnęły niczym guziczki.

- To pan wie? - Jupiter Jones nie miał za grosz szacunku dla władzy i pieniędzy. Może dlatego, że nigdy ich nie miał.

Ruppert Getty wachlował się poranną gazetą.

- Całe to prasowe tałatajstwo o nim pisze. Nawet te gazety, które należą do mnie! O co tu właściwie chodzi, Ned?

Najwyraźniej agent FBI postanowił popełnić samobójstwo.

- Pańska wnuczka. Ona i jej matka, z domu Foster, chcą za wszelką cenę odzyskać utracony majątek Szkota. Obie kobiety od dawna planowały akcję.

Nawet cień zdziwienia nie przemknął przez kamienną twarz multimilionera.

- I ty na to pozwolisz, Ned? - wycodził sucho.

Chłopcy odetchnęli głośno. Wyglądało na to, że stary nafcjarz, oprócz solidnego konta w bankach całego świata, ma też sporo rozsądku i mądrości.

- Jak pan sobie życzy - uśmiechnął się agent FBI. - Sprawa jest dość zagmatwana. Wiemy, kto kradnie i dlaczego.

- Nie wiem tylko jak! - wtrącił Jupe.

Staruszek wyszczerzył akrylowe zęby.

- Więc myśl, chłopcze! Z myślenia pochodzi wszystko, co najwspanialsze na świecie. Te półtora kilograma galaretki, którą dźwigasz...

- Co takiego? - Pete nie zrozumiał.

- Mózg, synu. Waży półtora kilograma. Ale nie traćmy cennego czasu. Czego po mnie oczekujesz, Beatty? Tego, co poprzednim razem?

Bob zapisywał coś w swoim notesie.

- To pan zna Neda? Skąd? - spytał zdziwiony.

Getty zapatrzył się w wodę tryskającą z paszczy kamiennych trytonów. Wyglądał na człowieka odprężonego. Prawie obojętnego.

- Odnalazł dla mnie pewną rzecz, na której mi zależało. Nieważne. Co mam zrobić, żeby obrazy wróciły na swoje miejsce?

Agent pstryknął palcem w rondo słomkowego kapelusza.

- Zabierze pan stąd swoją wnuczkę i jej kuzynka George'a. To powinowaty ze strony matki. Ma pracownię malarską i uwielbia kokainę. Za narkotyki sprzedaje własną matkę. Podejrzewam też o współudział pańskiego starego przyjaciela Johna Brentona...

Milioner zacisnął swoje małe piąstki, aż na dłoniach wystąpiły grube, fioletowe żyły.

- Nie. W to nie uwierzę.

- On kocha miss Pamelę. Uwielbia ją. Dla niej gotów jest popełnić każdą zbrodnię - wtrącił Jupe. - Sądzę, że nie działa przeciw panu. Pracuje całym sercem dla niej.

Getty rozcierał ścierpnięte palce. Wyglądał, jakby mu było zimno. W taki upał!

- Rozumiem.

- Wycofa pan zakaz penetrowania willi. Muszę ściągnąć z Los Angeles najlepszych speców od elektroniki...

Milioner wstał.

- Sam mam takich. Japończycy. Instalowali najnowocześniejsze alarmy w moich rezydencjach. Akiro Suzuki jest szefem grupy.

Jupiter Jones zatrzepotał dłońmi.

- Więc niech pan ich zwolni natychmiast! Najlepiej jeszcze dziś!

Stary pan zmarszczył brwi.

- Byłem cierpliwy, młody człowieku, ale już nie jestem! Nikt mnie nie będzie pouczał, kogo mam zwolnić!

Bob nie przestraszył się surowego oblicza starca. Może miał za mało wyobraźni. A może nic sobie nie robił z możliwych tego świata.

- Jeśli Akiro Suzuki instalował alarmy w tej willi - to wszystko zaczyna być jasne. Pamela ich wkopała!

- Dobrze słyszeliśmy rozmowę miss Pameli z panem George'em, tym od kokainy. Mówiła, że Japończyków ma w garści. Być może ma pan we wszystkich swoich gabinetach wspaniałe japońskie pluskwy...

- Co?

- Podśłuch. Radzę sprawdzić! - Pete rozłożył dłonie.

Ned Beatty z leciutkim uśmiechem przysłuchiwał się wymianie zdań. Wiedział, że chłopcy nie mają nic do stracenia. On miał. Ktoś tak potężny jak ten mały, schorowany starzec mógł w ciągu trzech minut pozbawić go pracy i emerytury na stare lata. Toteż milczał taktycznie.

- Wyobrażać sobie, że można odsunąć problem, zamiast go rozwiązać, to zachowywać się jak dziecko! - mruknął stary pan, dając znak gorylom. - Pamiętajcie tylko, że przeciwnicy mają instynkt i zęby piranii. Wszyscy. Z duchem Malcolma Fostera na czele! A swoją drogą... - zatrzymał się ze śmiesznie przekrzywioną głową - nie sądziłem, że dawne animozje wybuchną z nową siłą!

- To pański dziadek go wykołował! - powiedział Pete z dziecięcą szczerością. - Zabrał mu nawet szkocki zamek. W kawałkach. To się opłacało?

Milioner, ku zdumieniu własnej obstawy, wybuchnął śmiechem. Trzęsła mu się głowa na cienkiej szyi, trząśnięty brzuch i łydki.

- Jasne, że wykołował! I rozebrał zamek tylko po to, by Fosterom zrobić na złość! To był dzielny zdobywca teksaskich pól naftowych. Człowiek-legenda.

- Na Dzikim Zachodzie śpiewają o nim ballady! - wysyczał zde gustowany Bob.

- A żebyś wiedział, że śpiewają. Część z nich sam ułożył! - zarechotał. - Dziękuję wam. Nie śmiałem się tak od czterdziestu lat! Od czasu, gdy wstawiłem niejakiego Hunta w podmurówkę kompleksu budowlanego Plaza Hotel! Będzie, jak chcesz, Ned. I, na Boga, znajdź moje dzieła sztuki. Człowiek może stać w betonowych skarpetkach na dnie Oceanu Spokojnego, bo ludzi jest wielu. Ale "Święta Rodzina" Rafaela jest jedna! Pojmujesz, Ned?

Odchodził, potykając się, przez zielony trawnik. Goryle nieomal czule podtrzymywali słabnące ciało.

- Co on miał na myśli mówiąc o “betonowych skarpetkach”? - Pete bywał czasem naiwnym dzieckiem.

- Tylko to, że замуrował paru wrogów w swoich kompleksach budowlanych.

Jupiter Jones potarł czoło.

- Dziś już chyba tego nie robi, co?

Ned Beatty uśmiechnął się promiennie.

- Dziś już nie musi.

# ROZDZIAŁ 13

## KTO PORWAŁ JUPITERA?

- Zlikwidowaliście wreszcie tę zjawę? - Mat Wilson stękał do słuchawki. - Co się tam dzieje w Malibu?

- Kończymy dziś wieczór - stwierdził Jupe.

Pete i Bob ze zdziwieniem spojrzeli na Pierwszego Detektywa. Jupiter odłożył słuchawkę.

- Tak, panowie. Ned Beatty razem ze swoimi elektronikami pruje teraz sufity i podłogi, jesteśmy zaproszeni na ostatni akt tego przedstawienia. Jednego jestem pewien...

- Czego?

- Że obrazy nadal są w muzeum.

Bob usiadł z rozmachem na starej kanapie z wyłazającymi sprężynami.

- Skąd to wiesz?

- Bo nikt ich nie mógł wynieść. Są tam!

Znów jechali fordem, przekonując silnik, by nie zakrztusił się na śmierć. Przed parkingiem, ku przerażeniu Crenshawa, z krzaków wyskoczyły trzy postaci w czarnych kominiarkach.

- To napad! Jupe, gaz do dechy!

Zaświeciły latarki. Białe oczodoły wymieniły ukradkowe spojrzenia. Nikt nie wyjął broni.

- Wjeżdżać! - warknęła serdecznym tonem jedna z piekielnych zjaw.

- Nasi ludzie! - ucieszył się lekko przestraszony Bob.

- Od kiedy brygada antyterrorystyczna to nasi ludzie? - prychnął Pete.

- Od czasu gdy się zaprzyjaźniliśmy z Nedem - odparł Jupe, ustawiając wóz przodem do ogrodzenia.

Antyczna willa tonęła w mroku. Po raz pierwszy jej wnętrze nie było oświetlone żarówkami żyrandoli. Chłopcy potykali się w ciemnościach, nie dostrzegając żywoplotu. Bob o mały włos nie wywinął kozła.

- Gdzie latarka? - wrzasnął Pete.

- Cicho. Nie zapalaj światła. Czuję przez skórę, że nie jesteśmy sami.
- Nie powiesz mi, że agenci FBI udają rzymskie rzeźby! Ten faun na przykład...
- Lepiej go nie dotykaj - szepnął Jupiter. - I nie wrzeszcz tak. Gdzieś tu było wejście...

Czyjaś dłoń chwyciła go za bark.

- Pete, puść!

Crenshaw odwrócił się zdziwiony.

- Przecież nic nie robię! Gdzie jesteś, Jupe?

Ale Pierwszy Detektyw nie odpowiedział.

Ned Beatty kuczał przy gęstym krzewie rosnącym tuż koło wejścia. Oświetlał pole widzenia małą latarką. Obok czerniała druga sylwetka. Gdy Bob z Crenshawem nadeszli, powstrzymał ich ruchem dłoni.

- Cicho. Coś tu mamy.

- Co?

- Malutkie urządzenie powodujące wyłączenie światła wewnątrz willi. Ktoś to robił z zewnątrz. Na dany mu znak.

- John Brenton. Zawsze był ze swoim mossbergiem w ogrodzie. A Pamela Crowford w środku.

Elektronik coś dłubał dziwnym narzędziem z dwoma pulsującymi światełkami.

- Wiem, jak to robili - wyszeptał. - Już wszystko wiem! Możemy wejść do środka. Dajcie światło! - krzyknął w kierunku swoich niewidocznych kolegów. - Cholernie sprytne!

Willi zajaśniała pełnym blaskiem.

- Gdzie Jupiter? - zdziwił się Bob.

Pete wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Był z nami w ogrodzie. Nagle wrzasnął: "Pete, puść!" Od tej chwili go nie widziałem.

Ned Beatty szpetnie zaklął. Nigdy dotąd tego nie robił.

- Mają go! - wyszeptał. - Porwali Jupitera!

- Kto? - Bob i Pete przysiedli z wrażenia. - Kto ośmielił się porwać Jupitera?

Spokojna dotąd praca wielu ludzi uległa kompletnej dezorganizacji. Miotali się wśród krzaków, rzeźb, marmurowych kolumn i gęstych żywopłotów niczym dzieci bawiące się w chowanego. Jupiter Jones przepadł. Zupełnie, jakby się pod nim zapadła ziemia. A czas płynął. Ned Beatty, wściekły niczym rozjuszony nosorożec, spoglądał co parę minut na zegarek ze świecą tarczą.

- Nie ma go?

- Nie! - odchrząknęli poszukujący z różnych stron rozległego patio i przyległości.

Bob Andrews ścisnął Crenshawa za łokieć.

- Chyba go nie zabijają, co?

Pete czuł, jak mu ciarki przebiegają po plecach.

- Wytropimy ich, choćby ukryli się w Szkocji! - warczał.

Była za pięć dwunasta. Przerwano poszukiwania. Tym razem trzech agentów strzegło zewnętrznego wyłącznika. Światło w willi nie miało zgasnąć ani na sekundę.

Beatty, czując ciężką na nim odpowiedzialność za losy chłopców, kazał im wejść do środka. Siedzieli na podłodze, wodząc wzrokiem po oświetlonych obrazach. Silne reflektory skierowano na dwa płótna: "Madonnę" Rubensa i fioletowe "Irysy" Van Gogha.

Punkt dwunasta rozległo się bicie zegara. Duch Malcolma Fostera już nie spłynął z sufitu. Ale rozległ się cichutki zgrzyt i "Madonna"... ruszyła w górę! Obraz płynął po ścianie, wciągany przez cienkie linki, na których był zawieszony. Tłum gapiów wydał okrzyk:

- Nie do wiary!

Obraz dojechał do sufitu. Coś szcęknęło, jeden z kasetonów z namalowanym aniołem wcisnął się w głąb. Jego miejsce zajęła dokładnie dopasowana "Madonna" Rubensa. Tylko że - zamiast miękkiej w rysunku twarzy kobiecej pochylonej nad dzieciątkiem - ukazała się tylna strona obrazu z namalowanym fragmentem nieba i główką anioła! Dokładnie taką, jaka tam była poprzednio.

Ned Beatty z podziwem pokręcił głową.

- Ale wymyślili, co? Technika pierwszej klasy! Od czasu, gdy w muzeach przestano wieszać obrazy na solidnych hakach, stało się to możliwe!

Bob nie wierzył własnym oczom.

- Obraz jechał jak po szynach! - wołał podniecony. - Teraz rozumiem, do czego była potrzebna pracownia malarska! I te niezbyt wysokiej klasy aniołki kuzyna George'a! Pamela Crawford miała

tylko jedno zadanie: przyczepić je na odwrocie tego z dzieł sztuki, które postanowiono ukraść!  
Proste!

- Szkoda, że Jupe został porwany! - zmartwił się Pete. - Nie zobaczył wspaniałego triku japońskiej techniki!

- Widziałem - rozległ się zduszony głos.

Wszyscy, jak na komendę, odwrócili głowy.

W drzwiach prowadzących do galerii stał Jupiter Jones. Niestety, nie sam. Trzymał go w morderczym uścisku nie kto inny, jak potężnej postury John Brenton. Z nieodłącznym mossbergiem w lewej dłoni. Broń była odbezpieczona.

Agenci, z wzrokiem utkwionym w cud na suficie, nie zdążyli zająć stanowisk. To był błąd, na który liczył kowboj.

- A teraz wyjdźcie stąd wszyscy! - wrzasnął. - Inaczej zabiję chłopaka!

Jupiter Jones, choć z wykręconym ramieniem, zachował godność Pierwszego Detektywa.

- Strzelajcie do niego! Chce wywieźć z kraju wszystkie obrazy. Jest w zмовie z Japończykami. Mają terenówkę na chodzie i kupę broni!

Ale nikt się nie ruszył. Potężny mossberg, sprawnie użyty, spowodowałby w zamkniętym wnętrzu niezłą jatkę.

- Panie Brenton - odezwał się spokojnie Ned Beatty. - Czy sądzi pan, że będą mu przydatne te... pozał się Boże, knoty spod sufitu?

- Jakie knoty? - zdziwił się Pete. - O czym pan mówi?

Ku zdziwieniu zebranych, na dany przez Neda znak, z sufitu zaczęły zjeżdżać wszystkie, rzekomo wykradzione przez ducha, płótna. Z cichutkim trzaskiem lądowały na swoich dawnych miejscach. Ale... nie było wśród nich Rafaela ani Veronese'a, ani nawet "Świętego Bartłomieja" Rembrandta. Zamiast nich zjechały nędzne anioły namalowane przez George'a.

- Chce je pan wziąć, panie Brenton?

Kowboj stał jak wryty. Jego palce mocniej zacisnęły się na spuście. Ale wzrok biegł od obrazów do spokojnej twarzy agenta.

- Co... to... - wychrypiał wreszcie.

- Surprise! - odezwał się z ciemnego pomieszczenia głos starego człowieka. - Niespodzianka, nasz dobry, wierny sługo!

- Pan... tutaj? - zdumienie Johna Brentona nie miało granic.

- A co myślałeś, kowboju? Że pozwolę bezkarnie ograbić swoją galerię? Toż to wszystko ma wartość, jakiej twój spalony szkocki mózg nie ogarnia. Chciałeś oszukać mnie? Rzuć broń, padalcu! I puść wreszcie tego miłego, młodego człowieka, który jest o niebo mądrzejszy od ciebie!

Brenton nie wiedział, co robić.

- Panienska Pamela - szeptał przerażony. - Przecież ja dla niej...

Getty postąpił krok do przodu. Na żółtawej twarzy nie widać było cienia strachu.

- Wiem, że ją kochasz, Johnie Brenton. Nie wiem, jak cię omotała, ale to już przeszłość. Pamela startuje właśnie moim prywatnym samolotem do Szkocji. Tam, gdzie jej miejsce. Zabrała ze sobą swój kapelusz i kuzyna George'a. Narkomana i pacykarza! Czy ty mnie słuchasz, panie Brenton?

Kowboj opuścił mossberga. Broń stuknęła o marmurową posadzkę, wpędzając w histerię paru tajniaków. Nie wiedzieli, że była już zabezpieczona. Brenton zrobił to automatycznie. Jupiter Jones też poczuł, że ucisk na lewe ramię zelżał. Otrząsnął się niczym mokry pies i podszedł spokojnie do milionera.

- Dziękuję - powiedział.

- To ja ci dziękuję - odparł starzec.

- Do diabła, Jupe! - wrzasnął Crenshaw, oddychając szybko. - Za co on ci dziękuje?

Bob potrząsał ramieniem ocalonego niczym gałęzią dojrzałych owoców.

- Przestań, Bob, boli!

Pomału wszystko zaczęło się wyjaśniać. Zadowolony z końcowego efektu Ned przyjmował gratulacje.

- Wpadliśmy na to urządzenie po długich i żmudnych poszukiwaniach - wyjaśniał. - Nasi elektrownicy solidnie się natrudzili. Ale się udało. Na wszelki wypadek wymieniliśmy oryginały na te... szmirowate obrazki. Ponieważ Brenton uciekł, można się było po nim spodziewać najgorszego... nie chcieliśmy ryzykować. Brenton zresztą ukrywał się w swojej toyocie. Niezbyt daleko. Wytropiliśmy terenówkę, ale baliśmy się, by rozwścieczony nie użył broni. Tym bardziej że stracił wcześniej kontakt z Pamelą. I George'em. Udało mu się jednak, w ciemnościach, dostać do ogrodu. Znał przejścia i zakamarki lepiej niż my. Złapał Jupitera i...

- I popełnił błąd - dorzucił Pierwszy Detektyw. - Wpakował mnie do terenówki, którą zamknął. Zapomniał tylko o telefonie komórkowym. Odkryłem go na przednim siedzeniu, ponieważ zadzwonił. W ten sposób zawiadomiłem posterunek Mata Wilsona, a on starszego pana. Trochę to okrężna droga, ale okazała się właściwa.

- Bohater sezonu! - jęknął wzruszony Bob. - Ojciec wszystko opisze w jutrzejszym Sun-Press! Będą z tobą robić wywiady, Jupe. I z panem, Ned - dorzucił łaskawie.

- Mały Tłuscioszek i Duży Tłuscioch! - roześmiał się cichutko Pete.

Jupiter walnął go pod żebro.

- Mówiłem, że nie znoszę, jak mnie się tak przezywa!

- Spokojnie, Jupe - łagodził Bob. - Wszyscy wiedzą, że w wieku czterech lat grałeś w filmie pod tytułem "Mały Tłuscioszek"! Ten film istnieje. Nie spalisz wszystkich kopii.

- Niestety! - warknął Jupiter, patrząc, jak technicy demontują sekretne elektroniczne urządzenie.  
- Pomyślcie, gdyby nie my, szajka ze Szkocji ukradłaby te wszystkie piękne płótna. Kasetony wróciłyby na swoje miejsce i nikt nigdy nie odkryłby prawdy.

Ned Beatty poklepał go po ramieniu.

- Oj, boli! - wrzasnął Jupe. - Ten drań wykręcił mi szyję! Gdzie właściwie podział się kowboj?

- Pojedzie prosto do aresztu. Za współudział w kradzieży i napaść z bronią w ręku. Chyba... że z uwagi na stare zasługi dla rodziny, w przebraniu Malcolma Fostera będzie straszył turystów zwiedzających szkocki zamek w Teksasie.

## ROZDZIAŁ 14

### ZAGADKA SIĘ WYJAŚNIA

Następnego dnia cała prasa od San Diego po San Francisco pisała tylko o nieudanej kradzieży słynnych obrazów. Przypominano starą, zapomnianą historię o dwóch przyjaciółach z czasów, gdy odkrywano złoża ropy naftowej: Szkocie i Amerykaninie. I o tym, jak jeden ograł w karty drugiego, jak go pozbawił pól naftowych i płynącej stąd gotówki. I o zemście, jaką ów Szkot poprzysiągł. Zemsta ta strawiła cztery pokolenia, trzy małżeństwa, jedną obłąkańczą miłość sługi do pięknej panny i zabiła ćwieka najlepszym agentom FBI, tabunom policji oraz słynnym Trzem Detektywom.

- Co za historia z tymi Japończykami? - nie kojarzył Pete Crenshaw.

Jupiter Jones przykładał lód do bolącego ramienia.

- Właściwie to tajemnica. Starszy pan prosił, by nie rozpowszechniać tego, co odkryłem. Chodzi o jego wielkie kontrakty handlowe.

- Ale co takiego odkryłeś bez nas? I kiedy? - Bob przeglądał e-mail w internecie. Było w poczcie mnóstwo gratulacji, sporo zapytań od pomniejszych mediów i jedna krytyka, o którą posądzali zazdrosną Vanessę.

Jupiter zmienił okład z lodu. Nowiutką zamrażarkę dostarczyli im ludzie z firmy z Rocky Beach. Nie chcieli powiedzieć, czym jest darem. Ale chłopcy posądzali o to przyjaciela-milionera.

- Powiem wam, o ile obiecacie dochować tajemnicy.

- Za kogo ty nas masz? - oburzył się Bob.

- Za przyjaciół. Ale takich, którzy czasem... chlapią ozorem. Bob, żadna prasa nie może się o tym dowiedzieć.

- Przysięgam, Jupe.

- W porządku. Kiedy kowboj wykręcił mi ramię...

- Tam, w ogrodzie? - przerwał Pete.

- Tak. I zaciągnął mnie siłą do stojącej po drugiej stronie terenówki...

Bob wyłączył telefon komórkowy, który wciąż brzęczał. Był darem od Neda Beatty'ego.

- Tak, Jupe?

- Związał mi nogi sznurem. Bardzo dokładnie. Ale ręce słabo. Nie miał zbyt wiele czasu. Bardzo się spieszył. Z bezmyślności, głupoty i kompletnego rozkojarzenia zostawił na przednim

siedzeniu telefon komórkowy, którym porozumiewał się z Pamelą. I jej kuzynem George'em.

- To wiemy! - jęknął Pete. - Co z Japończykami?

Jupiter Jones westchnął.

- Po kolei, Pete. Wyswobodziłem prawą rękę i zatelefonowałem do Mata Wilsona na posterunek w Rocky Beach...

- Dlaczego nie do Neda? - Bob z nerwów ogryzał paznokcie.

- Bo nie znałem numeru, baranie! Jedyne, jakie mi się kołatały w mózgu, to ciotki Matyldy i Mata Wilsona. Co byś wybrał na moim miejscu?

- Mata - stwierdził Pete. - Co dalej?

- Mat zareagował przytomnie. Połączył się z posterunkiem w Malibu, a oni dotarli do starego Getty'ego. Te miał na głowie samolot, zgnięcie Pameli, zresztą niczego nie podejrzewającej, i kuzynka George'a.

- Japończycy! - jęknął Pete.

- Dobrze, już mówię! W terenówce była koperta z nadrukiem japońskiej firmy. I z napisem po angielsku: "Do rąk własnych miss Pameli Crowford".

- Zajrzałeś?

- A jak myślisz? To była normalna umowa między ową firmą a naszą pannicą na sprzedaż pięciu obrazów starych europejskich mistrzów.

- Sprzedaż? - zdziwił się Bob. - Ona chciała te obrazy sprzedać? Tutaj? W Ameryce?

Jupiter Jones zaczerpnął nowej porcji lodu.

- Pamela Crowford doskonale wiedziała, że dzieł znanych z katalogów nie sprzeda w Europie. Ani na aukcji w Sotheby's, ani Christie's. Że ich w ogóle nie wywiezie. A jej potrzebna była forsa. Duża forsa. Także po to, by zaspokoić narkomańskie żądania kuzynka George'a Fostera. Japończycy, którzy na jej zlecenie zaaranżowali ów elektroniczny system podciągania obrazów, gwarantowali tajemnicę po grób. Chodziło o kolekcjonera, w którego interesie leżała tajemnica.

Bob tarł koniuszek nosa.

- On przecież też nie mógł obrazów wystawić?

- Oczywiście. Ale są tacy, którzy trzymają najpiękniejsze obrazy w sejfach lub... zamaskowanych piwnicach. By samemu tylko, w ciszy, przyglądać się "Świętej Rodzinie". Dla finansisty to najlepsza lokata. Akcje na giełdzie spadają, krach finansowy może nastąpić w każdej

chwili. A taki, na przykład, Veronese ma swą wartość. Jego cena może tylko wzrosnąć.

- Pamela chciała wrócić do Szkocji?

- Chyba tak. Jej matka wyjechała już wcześniej. Od dawna znała zamierzenia córki. Potrzebowały tylko dużych pieniędzy.

Pete Crenshaw wstał z krzesła. Znów chodził od okna do ściany i z powrotem.

- Pete! - wyjęczał Jupiter. - Dostanę oczopląsu! Chcesz znać zakończenie tej historii?

- Tak.

- Schowałem kopertę pod koszulę. Kiedy wrócił Brenton, by mnie wziąć w charakterze zakładnika, nic o tym nie wiedział. Nie mógł się już porozumieć z Pamela. Nie wiedział też, że stary Getty jest o wszystkim poinformowany. I zrobił głupstwo: chciał zaszantażować policję, zabrać obrazy i uciec gdzieś w góry. Ciągle sądził, że dziewczyna jest na wolności.

- Co z nim będzie?

Bob wzruszył ramionami.

- Albo zgnije w więzieniu, albo stary mu wybaczy z uwagi na dawne zasługi dla rodziny.

Zabrzącał telefon. Ten na biurku. Jupiter podniósł słuchawkę.

- Słucham? Kwatera Główna Trzech Detektywów. Ned? Beatty? Nie może się pan dodzwonić? Nic dziwnego, opowiadam pozostałym detektywom ten fragment historyjki, którego nie znają. Co? Chcecie, żeby Ned przyjechał tu, do nas, z dwoma pudełkami pizzy pepperoni? - zwrócił się do przyjaciół.

Bob zaklaskał w dłonie.

- Z dodatkowym serem. I cebulą!

- To wielki zaszczyt - powiedział Jupe, gorączkowo rozpakowując pudła.

- Co? - roześmiał się Ned Beatty. - Zjeść pizzę?

- Nie. On chciał powiedzieć, że wielkim zaszczytem jest dla nas pańska obecność w Kwaterze Głównej - sprostował Bob.

Agent z zaciekawieniem przyglądał się wnętrzu.

- Tu jest o wiele bezpieczniej niż w Kwaterze Głównej FBI - powiedział - i przestronniej.

- Zapewne tam macie kilka setek najnowocześniejszych komputerów z właściwym oprogramowaniem - westchnął z zazdrością Bob.

Ned Beatty odgryzł spory kęs gorącego ciasta. Żuł je z przyjemnością. Kiedy wreszcie połknął, stuknął się dłonią w głowę.

- To jest najlepszy komputer, chłopcze. Mózg!

- Półtora kilograma galaretki! - roześmiał się Pete Crenshaw. - Co pan będzie teraz robił?

Grubas oblizywał palce usmarowane sosem pomidorowym.

- Wracam do Los Angeles. Ale chcę być z wami w kontakcie.

Jupiter Jones przestał połykać.

- Na... naprawdę? - wystękał.

Agent wsunął w usta następny kawałek. Słyszeć było tylko sapanie i mlaskanie. A gdy i to ucichło, a w pudełkach ukazało się dno, odparł łagodnie:

- Przyzwyczailem się do was. Dobrze mi się myśli, gdy jesteście w pobliżu.

Trzej Detektywi nawet nie wiedzieli, że się rumienią. Gdy już Ned odszedł do swego wozu w kolorze utartej marchewki, gdy pokiwał na odjeżdżnym dłonią, gdy śpiew silnika ścichł w zaułkach, spojrzeli po sobie.

- To fajny facet! - wyszeptał nabożnie Jupiter Jones.

- I dobry przyjaciel!

# EPILOG

- I wie pan - powiedział Jupiter Jones, gdy już skończyli jeść lody pistacjowe - sędzę, że to była jedna z naszych najtrudniejszych spraw.

Alfred Hitchcock pokiwał głową.

- Całkiem niezły scenariusz filmowy. Choć... mnie osobiście brakuje jakiegoś efektownego... trupa.

Pete Crenshaw rozciągnął wargi w uśmiechu.

- Mnie raczej pogoni samochodowych, wyścigu pomiędzy agentami rządowymi a nami, prywatnymi detektywami.

Bob odłożył łyżeczkę. Za oknami domu wielkiego reżysera rozpościerały się krzewy hibiskusa. Czerwone kwiaty ładnie odbijały od ciemnej zieleni. Przez otwarte drzwi na taras wpadał łagodny wiatr. Na szczęście kończyły się kalifornijskie upały.

- Wie pan, dziś efektowny trup nie jest już tak ważny. Śledztwo toczy się w dwóch ośrodkach: w mózgu i mediach elektronicznych. Uzmysłowiłem to sobie, patrząc, jak pracuje Ned Beatty. Właściwie cały czas siedział koło fontanny...

- Albo leżał na marmurowej posadzce w galerii, wpatrzony tępo w malowane kasetony - dorzucił Bob. - Wtedy ani na chwilę nie podejrzewaliśmy, że niektóre z nich pochodzą z, pozał się Boże, pracowni kuzyna George'a Fostera.

Alfred Hitchcock w milczeniu słuchał opowieści swoich trzech przyjaciół. W końcu jednak wyznał, choć z pewnymi oporami:

- Będę z wami szczerzy. W filmie zawsze trzeba trochę podbarwić historie z życia wzięte. Wykorzystałbym japońską Jacuzi...

- Co? Wannę z bąbelkami?

- Nie. Tak się nazywa grupa przestępcza. Zorganizowana.

- Coś na kształt... mafii? - spytał Jupe.

- Tak. W Chinach nazywa się Triada. W Japonii - Jacuzi. No, ale nie jest ważne, co ja bym wpakował do filmu! - roześmiał się wielki reżyser. - Ważne jest to, co przeżyliście. I czego się nauczyliście. Jak się czuleś, Jupe, będąc więźniem Johna Brentona?

Jupiter zmarszczył brwi.

- Serio? No... nie zaprzeczę. Trochę się bałem. Szczególnie jego "armaty".

- Każdy by się bał! - Bob stanął w obronie przyjaciela. - Nie boi się tylko człowiek wyzbyty wyobraźni.

- Słusznie! - zaklaskał reżyser. - Ale coś wam powiem. Dziś w miejscowej gazecie przeczytałem, że rodzina milionera wycofała oskarżenie przeciwko stróżowi z muzeum. Twierdzą, że wszystko, co czynił, robił w dobrej wierze.

Jupiter potarł ramię.

- No... w dobrej wierze, o mały włos, nie złamał mi obojczyka! Nie wiem tylko, co na to wszystko mąż Pamelii? Niejaki Sam Crowford.

Alfred Hitchcock zaszeleścił gazetą.

- Wydał oświadczenie, że wystąpi do sądu o rozwód. Nie chce mieć nic wspólnego z żoną-złodziejką. Kobieta, która bez skrupułów chciała sprzedać najwspanialsze dzieła kultury.

- Mnie to też nie może wyjść z głowy. Takie obrazy! - Bob oglądał leżący na biurku album malarstwa europejskiego. - Są tu wszystkie reprodukcje.

Pete był bardziej pragmatyczny.

- W sejfach japońskich banków są już dzieła Van Gogha. Kupione legalnie na londyńskiej aukcji...

- Tylko że one... - Alfred Hitchcock zrobił tajemniczą minę - mogą się okazać falsyfikatami!

Trzej Detektywi szeroko otworzyli oczy.

- Coś pan o tym wie? - zaciekawił się Bob.

Wielki reżyser wydał policzki.

- Van Gogh nigdy nie namalował ani tyłu słoneczników, ani tyłu irysów. To jest pewne. Które są oryginałami, a które ktoś genialnie skopiował... życie pokaże.

- Ale heca! - Pete Crenshaw klepał się po kolanie. - Znów kryminalna zagadka. Pewnie nie do rozwiązania.

Reżyser roześmiał się głośno.

- W przeciwieństwie do samochodu, Pete, ludzki umysł nie ma biegu wstecznego.

- Nieuchwytnie jest tylko mydło w wannie! - dorzucił Jupe. - Ja bym się podjął wyjaśnienia tych spraw.

- Nie przesadzaj! - warknął Pete. - Wydaje ci się, że jesteś jak klucz francuski, który pasuje do

każdej śruby. Na malarstwie żaden z nas się nie zna.

Reżyser wstał z fotela. Z ogrodu napłynęła fala zapachów.

- Wiecie, co mówią Chińczycy? Mają niezwykle mądre porzekadła.

- Co takiego?

- “Leniwy mózg to warsztat diabła”!

Jupiter uśmiechnął się krzywo.

- Amerykanie mają lepsze: “Detektyw nie ma przyjaciół. Jedynym przyjacielem detektywa jest sukces!”

- I tego wam życzę, chłopcy - dorzucił gospodarz.

Wyszli, machając dłońmi na pożegnanie.

- Bez niego nigdy nie zostalibyśmy detektywami - skwitował Jupe. - Ciekawe, jakie nam się trafi następne zadanie?